

odgłosy



6 (588)
 9 II 1969 r.
 12 stron
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. A. Wach

FELIKS BABOL

Gdy się czyta gazety, ogląda telewizję, błędzi wyobraźnią po obszarach przyszłości — widać wyraźnie inżyniera i widać wyraźnie technika. Ten pierwszy będzie czuwał nad dniem jutrzejszym fabryki, rysował koncepcje zasadniczych zmian w technice i technologii. Ten drugi — będzie czuwał nad dniem dzisiejszym przedsiębiorstwa, nad tym, aby wszystko „grało” na przydzielonym stanowisku, na konkretnym etapie cyklu produkcyjnego, będzie kierownikiem procesu wytwarzania. I od tego drugiego w zasadzie zależy i powinno zależeć w przyszłości to co nazywamy troską o jakość tzw. wyrobów finalnych w fabryce, technik będzie odpowiedzialny za przestrzeganie harmonogramów i reżimu technologicznego.

TECHNICY są wśród nas

I to wszystko bynajmniej nie jest żadnym paradoksem — ludzie mający tylko średnie wykształcenie techniczne będą musieli wziąć na swe barki główny ciężar bieżącej praktyki przedsiębiorstw produkcyjnych, bo tych z wykształceniem wyższym, magistrów-inżynierów, trzeba będzie jak najszybciej zdobyć dla inicjatyw technicznych i konstrukcyjnych, dla syntezy rozwoju całych branż czy gałęzi wytwarzania. Zresztą techników zawsze i wszędzie było znacznie więcej niż inżynierów. W 1945 roku gdyśmy zaczęli gospodarować po nowemu, przy

stąpiło do pracy 25 tys. techników i tylko 7 tys. inżynierów. W okresie dwudziestu paru lat inżynierów przy było i podobno jesteśmy pod tym względem (rozważając odpowiednie wskaźniki) mocarstwem europejskim, techników jednak w 1964 roku mieliśmy w kraju 208 tys., dwa lata później 225 tys., a w roku szkolnym 67/68 mury 3260 szkół technicznych na poziomie średnim opuściło dalszych około 100 tys. absolwentów, którzy poszli do produkcji na stanowiska techników. Ale te po-

(DALSZY CIĄG NA STR. 4)

Doc. dr **ANDRZEJ F. GRABSKI**

HUMANISTYKA zaangażowana

Nie tylko uczeni uprawiają dziś refleksję nad naszą współczesnością i przyszłością, nie tylko oni proponują wizje świata, których może być nieskończenie wiele mimo, że świat jest ostatecznie tylko jeden. Zatem niebezpieczeństwo, aby papierowy świat stanął w opozycji do realnego grozi dziś wszystkim, którzy proponują jakieś jego wizje, jakieś jego papierowe surrogaty, niezależnie od ich pozycji społecznej. Demokratyzacja poznawania świata, którą przynosi nasza epoka, jest sprzężona z demokratyzacją możliwości pobłędzenia. Wiadomo o tym nie od dziś, że słowiki z przypowieści nie zawsze chcą śpiewać tak jak napisano w księgach.

Papierowy świat to wizja świata realnego, jakiś model, który może się sprawdzić albo nie. Zadaniem intelektualisty — humanisty, owego — wedle określenia J. Chałasińskiego — „wyrzuciła dążeń i ideałów kulturalnych społeczeństwa, a jednocześnie wychowawcy, upowszechniającego wzory i nozmy kulturalnego życia”, jest konstruowanie własnych wizji rzeczywistości i proponowanie ich społeczeństwu. Oczywiście nie chodzi o uczonego — klakiera, który przytakuje wszystkim autorytetom, ani strusia, który stroni od konfliktowej problematyki byle tylko zachować błogi spokój. Warunkiem narodzin nowej wizji, nowego modelu, jaki uczony ma do zaproponowania jest bowiem stwierdzenie przez siebie niewystarczalności dotychczasowych propozycji. Zatem każdy nowy model musi być ze swej istoty polemiczny, skierowany przeciwko zastanemu bądź kilku zastanym modelom. W tym tkwi jego istota.

Polemiczny charakter propozycji, przedstawionych przez J. Chałasińskiego w książce „Kultura i Naród. Studia i szkice” (Warszawa, KIW, 1968) jest dla czytelnika oczywisty. Autor nie tylko tego nie ukrywa, lecz przeciwnie eksponuje właśnie tę stronę swoich rozważań, czasem wpadając w ton niemal publicystyczny. Ale jest też i o co się spierać. Książka traktuje bowiem o niezmiernie istotnych problemach współczesności, które wyznacza zaproponowana przez autora cztero członowa konstrukcja: Historia — Kultura — Osobowość — Naród.

Czy „bezkształtny wiek cybernetyki”, epoka rewolucji naukowej i technicznej, cywilizacji maszynowej, bomby atomowej i podboju kosmosu, wyzwala człowieka spod ciężaru minionych wieków? Czy mają rację ci futurologowie, którzy przewidują, że człowiek przyszłości nie będzie już „zwierzęciem historycznym”, że teraźniejszość sili mi w nim echa przeszłości? Socjolog amerykański M. L. Hansen badając społeczeństwo własnego kraju, ów konglomerat roztopiony w maszynowym świecie cywilizacji technicznej dochodzi do wniosku, że „gdy jakaś grupa imigrancka dochodzi w swym rozwoju do trzeciego pokolenia, to powstaje spontaniczny i prawie nie do zahamowania impuls, który skłania wielu ludzi różnych zawodów, różnych pozycji i różnych poglądów do zainteresowania się samymi sobą ze względu na jeden wspólny czynnik: dziedzictwo...” Wiele zamiast roztopienia się w teraźniejszości następuje poszukiwanie własnego indywidualnego ja w nawiązaniu do przeszłości?

Nie mieli chyba racji ci, którzy sądzili, że klasy dawniej uciskane, na drodze rewolucji społecznej awansowane do roli hegemonu narodu, w nowej sytuacji pozostaną w ogóle głuche na historię,

Dalszy ciąg na str. 3



OGÓLNOPOLSKI

W prasie codziennej oraz dziennikach radiowych i telewizyjnych ukazała się informacja o wprowadzeniu w całej HISPANII stanu wyjątkowego. Na mocy tej decyzji ograniczono — i tak już nieprzychylnie ograniczone — „prawa obywatelskie”. Oficjalne uzasadnienie tego kroku brzmi: „wprowadzono stan wyjątkowy, aby zdusić zamieszki studenckie”. Prawda, iż miały one miejsce i były wymierzone przeciwko frankistowskiemu reżimowi, jednak istota sprawy jest inna.

Choć może się to wydać paradoksalne — gen. Franco zaczęło ostatnio oskarżać o zbyt „miłą rękę”. Oskarżenia te kierowała grupa skrajnie prawicowych generałów, która zabiega o sukcesy po hiszpańskim dyktatorze. Pogłoski, później zresztą oficjalnie zdementowane („gen. Franco wygląda na człowieka zdrowego, jego uścisk dłoni jest mocny i postawa pewna” — cytata z wypowiedzi głównodowodzącego wojsk okręgu Barcelony) niosły wieść, że stan zdrowia Franco znacznie się pogorszył.

W oczekiwaniu więc, że 76-letni generał zdąży wrócić ze sceny, przystąpiono do energicznego działania.

A może znany z bezwzględności dyktator u kre su swego żywota rzeczywiście zrelektował się i — strach pomyśleć — uległ tendencjom liberalnym? Nie! Po prostu głód i policyjny terror wstrząsnęły podstawami reżimu. Piliary frankistowskiego systemu — kościół, armia i Falanga zaczęły się chwiać pod naporem opozycji, której przewodzi Komunistyczna Partia Hiszpanii. Napiecie rosło od dłuższego czasu, a ostatnio przybrało niepokojące dla reżimu rozmiary w związku z wrzeniem wśród studentów.

I choć oficjalne źródła mądryckie zaprzeczają, że wprowadzenie stanu wyjątkowego jest rezultatem nacisku armii na Franco — tak jest w istocie. To właśnie armia poczuła się szczególnie zagrożona ostatnimi wydarzeniami.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego, a w ślad za tym liczne aresztowania w Hiszpanii, dotęwa przysłowiowej oliwy do ognia. Reżim frankistowski wypowiadział bowiem w ten sposób wojnę narodowi. A tej wygrać nie można...

Komplikuje się sytuacja także we WŁOSZECH. Zgodnie z naszymi przewidywaniami z końca ubiegłego roku — kryzys społeczny przyjmuje coraz poważniejsze rozmiary. Krajem wstrząsają potężne strajki i akcje protestacyjne. Raz po raz dochodzi do starć z policją.

W obliczu tej sytuacji przyszłość koalicyjnego rządu Rumora staje pod znakiem zapytania. W każdej z trzech partii, tworzących rządową koalicję, toczą się ostre polemiki, dochodzi do poważnych rozgrywek wewnętrznych.

Znajdują to swoje odbicie również w ośrodkach terenowych. W ośmiu dużych miastach i 24 mniejszych władze lokalne podały się do dymisji. Ogólny kryzys wisi w powietrzu.

Tym razem, gdyby rozpadła się centrolewica, ponowne galwanizowanie jej byłoby prawie niemożliwe. Upadek rządu mógłby więc oznaczać zakręt dla Włoch.

W nową — jak wydaje się teraz — wchodzi KONFLIKT BLISKOWSCHODNI. Zapoczątkowały ją konsultacje amb. Jarringa w siedzibie ONZ z przedstawicielami państw, które zaangażowały się w znalezienie pokojowej drogi rozwiązania kryzysu. Chociaż konsultacje te są poufne — wiadomo jednak, że ich celem jest doprowadzenie do bezpośrednich rozmów przedstawicieli czterech wielkich mocarstw.

Jak pamiętamy, z propozycją przejęcia inicjatywy przez wielką czwórkę wystąpiła Francja, mając poparcie Związku Radzieckiego. Zastrzeżenia zgłaszają Stany Zjednoczone. Jak można zorientować się z nowojorskich przecieków, nie odrzucają one wprawdzie możliwości spotkania, ale nie sądzą, aby rozmowy mogły zakończyć się przyjęciem wspólnego dokumentu, przedłożonego następnie do rozpatrzenia Radzie Bezpieczeństwa. „Wątpliwości” te wynikają stąd, że USA odmiennie niż inne kraje interpretują rezolucję Rady Bezpieczeństwa w sprawie wycołania izraelskich wojsk, uznając podobno potrzebę korekty granic Izraela i kwestionując udział krajów socjalistycznych w kompletowaniu oddziałów, które miałyby zapewnić nienaruszalność granic.

W chwili, kiedy przygotowuję komentarz do druku, z Waszyngtonu nadchodzi informacja, że nowa administracja USA określa właśnie swe stanowisko wobec propozycji spotkania czwórki.

Przypomnijmy, że w ubiegły poniedziałek Nixon na konferencji prasowej uznał sytuację na Bliskim Wschodzie za szczególnie „wybuchową i niebezpieczną” grożącą „konfrontacją o szerszym zasięgu” i że zapewnił o gotowości „rozpatrzenia wszelkich sugestii uregulowania konfliktu”.

W Paryżu odbyły się pierwsze spotkania czterech stron w sprawie WOJNY WIETNAMSKIEJ. Niestety, nie wniosły one optymizmu. Popycie wyjściowe rozmów są po stronie amerykańsko-sajskońskiej takie, jakim USA dawały wyraz w czasie 28 spotkań z przedstawicielami DRW w okresie listopad—styczeń. Raz jeszcze zapowiadają to długą i żmudną drogę do porozumienia.

W. SŁAWSKI

W dniach 7, 8 i 9 lutego bieżącego roku odbędzie się w Bydgoszczy siedemnasty po wojnie Zjazd Związku Literatów Polskich. Łódzkie środowisko pisarskie reprezentować będą następujący delegaci — Wiesław Jazdzyński, Jan Koprowski, Tadeusz Papier, Marian Piechal i Marek Wawrzkiwicz.

W związku z tym redakcja „Odgłosów” zwróciła się do delegatów z prośbą o odpowiedź na następujące pytanie:

— CZEGO PAN OCZEKUJE OD ZJAZDU I JAKI ZDANIEM PANA POWINIEN BYĆ GŁÓWNY KIERUNEK DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH?

Marian Piechal

Od zbliżającego się Zjazdu oczekuję przede wszystkim uporządkowania statutu związkowego w sensie jego ulogicznienia. Związek Literatów Polskich musi być związkiem twórczym, powinien pracować nad ukształtowaniem obywatelskiego oblicza pisarza.

Zjazd w Bydgoszczy będzie przełomowym, gdyż dokona się tam bilansu dotychczasowych osiągnięć literatury w Polsce Ludowej. Trzeba będzie porównać własne osiągnięcia z osiągnięciami w innych, pozaartystycznych dziedzinach życia, np. społecznych, naukowych, ekonomicznych i wyciągnąć z tego wnioski, które by zobowiązały do wzmożenia własnej twórczości i zwiększenia odpowiedzialności pisarskiej wobec narodu.

Myszę, że łódzcy delegaci, reprezentujący robotnicze miasto, są szczególnie predestynowani do postawienia na Zjeździe tych dwóch postulatów, o których przed chwilą mówiłem. Mam nadzieję, że to zadanie wypełnią.

To, co powiedziałem na wstępie, jest już poniekąd



odpowiedzią na drugą część pytania — w jakim kierunku powinna pójść praca ZLP. Winno nastąpić wzmożenie wewnętrznej twórczości Związku poprzez częstsze organizowanie zebrań, dyskusji na tematy aktualne, i to zarówno warsztatowe jak i problemowe.

Wiesław Jazdzyński

Wydaje mi się, że powinien to być Zjazd doprawdy przełomowy, bardzo w każdym razie rozstrzygający o dalszym rozwoju naszej literatury. Jeśli któryś z pisarzy miał jeszcze co do tego wątpliwości, że wartość literatury mierzyć należy w kategoriach ideowo-artystycznych, to wątpliwości te — jak sądzę — wreszcie zniknęły. Literatura nie istnieje poza życiem, przeciwnie, nie ustannie je odbija i próbuje je kształtować.

Byliśmy w roku ubiegłym świadkami bardzo przykrych wydarzeń na warszawskim forum literackim. Jeżeli jednak odrzucić zewnętrzne przejawy tych wydarzeń, wypowiedzi obraźliwe i niegodne, czy ploteczki na ten temat — pozostanie prawda o walce, która się toczy, prawda o walce ideologicznej, o sens twórczości literackiej, jej rolę w socjalistycznym społeczeństwie.

Wierzę, że nasz Zjazd przy pomni najbardziej cenny do robek naszej literatury w okresie 25-lecia PRL i w szerszej perspektywie 50-letni dorobek naszego piarstwa. Sądzę, że z tej oceny powinien wynikać wniosek jak najbardziej oczywisty: mody literackie, pseudofilozoficzne efemerydy, wykładane w tych czy innych książkach, próby ucieczek od rzeczywistości — przemijają, choć mogą być niekiedy przydatne, natomiast szczerze zaangażowana literatura pozostaje, pozostał bowiem Kochanowski, Mickiewicz, czy Żeromski. Rzecz prosta — literatura zaangażowana nie oznacza jakiegos sztywnego i niezmiennego modelu, jakiegos nie podlegającego prawom czasu zespołu kanonów, przeciwnie, powinna rozwijać swoje środki wyrazu, ponieważ rozwija się szybko człowiek, któremu służy.

Spodziewam się także, że nasz Zjazd poświęci wiele uwagi organizacji życia kulturalno-literackiego w Polsce Ludowej. Nie jest to organizacja idealna, w wielu przypadkach postawiono ją na głowie. Ciężar, waga tego życia nie jest rozłożona równomiernie chociażby tylko w sensie geograficznym,



Prymat stolicy jako główne centrum naszego życia artystycznego, nie może podlegać dyskusji, trzeba jednak uczynić wszystko, a w każdym razie znacznie więcej niż dotąd dla podniesienia rangi i znaczenia innych ośrodków kulturalnych w kraju. Sytuacja terenowych wydawnictw literacko-społecznych, tygodników, czy periodyków zajmujących się sprawami kultury, rozgłosni takich zachwycająca, aby nie należało jej głęboko przedyskutować. Rozdział sam w sobie stanowi tu sytuacja tzw. piarstwa terenowego. A skoro już o tym mowa warto dodać, że właśnie w tej sprawie — sytuacji i realnego dorobku naszego literackiego „terenu” zabiorą głos również i łódzcy delegaci. Myślę, że gdyby nie troska pisarzy nie wychodziłoby w Zielonej Górze „Nadodrze”, „Odra” we Wrocławiu, „Nurt” w Poznaniu, „Litera” w Gdańsku, „Odgłosy” i trochę jeszcze nieregularnie ukazująca się „Osnowa”, nie mielibyśmy całego szeregu festiwalu literackich, gdyby nie aktywna praca pozastoletczych ośrodków literackich,

CO Z TĄ FILOZOFIĄ?

Wpadł nam w ręce, niestety z dużym opóźnieniem, artykuł Tadeusza Mendelskiego pt. „Po co nam ta filozofia” („Odgłosy” nr 47, 24. XI. 1968 r.). Artykuł wywołał ożywą dyskusję, której rezultatem jest niniejszy list do redakcji.

Dobrze się stało, że T. Mendelski poruszył — ten dręczący studentów — temat profilu i zakresu kursu filozofii dla studentów różnych kierunków, zwłaszcza niehumanistycznych.

Jesteśmy już „po filozofii” i pod pisujemy się pod wypowiedzią T. Mendelskiego!

Nie wątpimy, że będziemy reprezentowały większość studentów AM, stwierdzając, że zetknięcie nasze z problematyką humanistyczną jest nam potrzebne i mogłoby być bardzo interesujące. Pożyteczna jest dla nas umiejętność filozoficznego myślenia, przyswojenie sobie podstawowych pojęć filozoficznych, terminów, rozwoju myśli filozoficznej w zakresie umożliwiający zrozumienie współczesnego świata. Pasjonowałyby nas dyskusje na ćwiczeniach nad współczesnymi kierunkami filozoficznymi, dyskusje przygotowujące do rozgrywanej się aktualnie walki ideologicznej, dyskusje pozwalające właściwie ukształtować swój światopogląd. Nas — przyszłych lekarzy —

interesują i są przedmiotem jak dotąd przywzrostych dyskusji, zagadnienia etyki, wartości moralnych lekarza, celowości życia, zagadki śmierci.

Pozostało nam z kursu mgliste wyobrażenie, że kiedyś tam był Hegel, kiedyś tam był Kant. Postacie filozofów mieszają się przy czepione do pewnych kierunków filozoficznych. Materiał wykładowy nie łączył się tematycznie z materiałem ćwiczeń. Na wykładzie Platon, na ćwiczeniach baza i nadbudowa, było to dla nas dodatkowo trudnością, przeszkadzało w koncentracji myślowej. Beznadziejne były ćwiczenia, na których mieliśmy się nad analizowaniem polemicznych (!) tekstów filozoficznych bez podstawowych wiadomości.

W imieniu przyszłych pokoleń, które oby „nie zaznały goryczy” podobnych ćwiczeń apelujemy o związanie programów z życiem, do stosowania ich do zainteresowań i potrzeb studentów różnych kierunków.

Studentki IV roku AM
w Łodzi
(18 podpisów)

COŚ TU NIE GRA

Od wielu lat trwa exodus łódzkich aktorów do Warszawy czy in-

Eugeniusz Wojech, Łódź

LISTY
do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE!

W numerze 4 „Odgłosów” z dnia 26.I.br., do wywiadu Andrzeja Makowieckiego z dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego („Co nowego w Wydawnictwie Łódzkim?”) zakradł się przykry błąd, spowodowany nieuwagą piszącego czy niewiedzą pytanego. Współpracując nad wspomnianą książką nie z Witoldem Śmiechem, jak podano, lecz z Michałem Kuną.

Zechce Pan wydrukować niniejsze sprostowanie w najbliższym numerze „Odgłosów”.

Stanisław Kaszyński

ZJAZD PISARZY

gdyby nie praca poszczególnych Zarządów Oddziałów ZLP. Sądzę, że w ogólnym rachunku naszych osiągnięć a i znaczących mankamentów

— ta właśnie pozycja, związana z pracą literacką i organizatorską pisarzy wielu miast, zostanie na trwałe zapisana.

Jan Koprowski

Nie oczekuję od Zjazdu żadnego przełomu, gdyż zjawy rzadko bywają przełomowe. Przełomy wywołują wybitne dzieła, a i to nie od razu. Ukazanie się „Balad i romansów” Mickiewicza zapowiadało przełom w literaturze, choć na razie nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. W wiele lat później książka, która miała znać przełomu, była „Legenda Młodej Polski” Stanisława Brzozowskiego. Zjazd szczeciński literatów z 1949 roku uznany został za przełomowy, ale po latach okazało się, że był to przełom po zorny i dla rozwoju literatury raczej niepomyślny.

Mówiąc to nie chcę ani po mniejszym, ani tym bardziej zlekceważyć Zjazdu Pisarzy Polskich w Bydgoszczy. Będzie się tam przecież mówiło o 25-letnim dorobku literatury polskiej po wojnie. O jej dokonaniach, niepowodzeniach i nadziejach. Jest to bez wątpienia dorobek ilościowo obfity i jakościowo o dużym znaczeniu. Literatura nasza rozwijała się na tle i w związku z zachodzącymi w kraju przemianami. Ocenic ją, znacząco ująć w kontekście dziejowym, porównać z tym, co po wojnie zaszło w literaturach europejskiej i światowej. Mnie osobiście interesuje to drugie zagadnienie: jaką pozycję i jakie znaczenie zajmuje literatura polska wśród literatur innych krajów.

Myszę, że pewną część dyskusji zjazdowej poświęćmy rozważaniom tych właśnie problemów. W Zjeździe wezmą udział poeci i prozaicy, krytycy i tłumacze, historycy literatury i publicyści, a więc kompetentni do podjęcia oceny i porównań.

Kiedy byłem w ZSRR, pewien młody polonista, wychowanek uniwersytetu moskiewskiego, powiedział w

rozmowie ze mną: „Wie pan, od chwili gdy poznałem język polski i rozczytuję się w książkach waszych pisarzy, widzę, że macie wspaniałą literaturę, o której nie



miałem pojęcia.” Kiedy byłem w Niemczech, pewien wydawca powiedział: „Od paru lat obserwuje się u nas coś w rodzaju mody na literaturę polską. Nie byłoby tej mody, gdyby literatura wasza była nieciekawa.”

A my sami? Czy z tego, co robimy, jesteśmy zadowoleni? Na pewno nie i jest to objaw cenny. I o tym również, jak sądzę, będzie na Zjeździe mowa. Sam spróbuję się wypowiedzieć na ten temat w dyskusji.

Co się zaś tyczy zadań programowych ZLP, myślę że Związek Pisarzy winien zająć się w stopniu energiczniejszym niż dotychczas organizacją życia literackiego w Polsce.

Tadeusz Papier

Uzbierało się wiele spraw natury ideologicznej, organicyzacyjnej i bytowej, które z pewnością będą dyskusyjnymi na Zjeździe. Trudno tu wymienić wszystkie. Za najważniejszą uważam dyskusję nad postawą ideowo-artystyczną pisarza. Ubiegły rok dostarczył nam w tym względzie wiele gorzkich rozczarowań. Mówię rozczarowań, gdyż inaczej nie można ustosunkować się do wypowiedzi niektórych pisarzy, autorów nieraz wybitnych książek, którzy w ostatnich swoich wystąpieniach odstąpili od siebie i od swoich bohaterów.

A więc rozczarowanie i zawód. Zawiedli ci, których się szanowało; na których się powoływano. Więc jakże to? Wydaje się, że powinniśmy wyciągnąć właściwe wnioski z tych doświadczeń. A wnioski same się narzucają. Przy pominięciu sobie pierwsze miejsce po wyzwoleniu. Pytania i wątpliwości, które nas wówczas nękały. Niekiedy z nas od początku wypowiedzieli się za tym kształtem ojczyzny, która wtedy powstawała za ojczyzną ludową i demokratyczną. A niektórzy jeszcze się wahali. A przecież trzeba było się opowiedzieć. Padło wtedy słowo: tak, lecz — owe „tak” nie polega przecież wyłącznie na formalnym potwierdzeniu. W tę deklarację trzeba było włożyć wszystko swoje siły, umiejętności, serce. Sto sunek do ojczyzny — to pięć kne sformułowanie należy rozwijać, bogacić jego treść. I dzisiaj, jak przed laty trzeba nam opowiedzenia. Wyrażnego, bez niedomówień. Za ojczyznę, ludową, demokratyczną, czy przeciwko niej. Przemiany, które zapoczątkował rok 44 i 45, nie zakończyły się — pisarze nie mogą żyć w oderwaniu od tych procesów. Sztuka jest także kategorią ideologiczną, w niej manifestują się określone postawy, poglądy, filozofia.

Wierzę w to, że na Zjeździe odpowiemy sobie także i na to pytanie: co pisarze wnieśli do dorobku kultury polskiej w minionym ćwierćwieczu. I jako twórcy, i jako obywatele. Ta sprawa, spodziewam się, będzie dominującym tematem obrad zjazdowych.

Ale jest jeszcze wiele innych, spośród których wymienię chociażby problem krytyki literackiej. Mój Boże, na krytyków narzekał nawet wielki Lew Tolstoj. Dzisiaj jest to zagadnienie bardziej skomplikowane, bo świat jest bardziej skomplikowany. Myślę nie tylko o wielkiej (lub „czystej”) krytyce, ale w ogóle o informacji książkowej. A ta jest niepełna, czy sama niesprawiedliwa, lub, jeśli chodzi o centralne czy sopisma, nie dostrzegająca wszystkich ciekawych zjawisk. Jakże łatwo w dyskusjach radiowych lub telewizyjnych dostojne grono krytyków wymienia wciąż te same przykłady i nazwiska. Wyłamał się ostatnio z tego schematu Jerzy Putrament, przypominając nazwisko Wacława Bilińskiego; czy tylko dla tego, że zasiadał w jury konkursu, na który Biliński nadesłał swoją powieść?

Jeszcze jedno: bardzo mnie interesuje sprawa rozchodzenia się książek. Czas by wreszcie wyłonić komisję, która przestudiuje drogę książki od Wydawnictwa poprzez drukarnię, Składnicę Księgarską do Domu Książki. Czasami ta podróż książki trwa za długo. Np. książki Wyd. Łódzkiego, wydrukowane w



Łodzi, trafiają do księgarń po dwóch, a nawet trzech miesiącach. Niektórzy księgarze proszą krytyków: nie piszcie za wcześnie recenzji, bo książ

ka jeszcze nie nadeszła. Na bywca i księgarz narzekają na opóźnienia, a z drugiej strony piwnice Składnicy Księgarskich nie mogą pomieścić zasobów. A nie znajdują

się tam t.zw. „cegly”, skoro w indeksach Składnicy figurują nazwiska najlepszych współczesnych pisarzy. Więc gdzie tu błąd? W organizacji? W przepisach?

Marek Wawrzekiewicz

Z dwóch względów będzie to ważny Zjazd, najważniejszy w tym 25-leciu. Bo podsumuje się ojczyzną literaturę, to co się działo przez 25 lat i wreszcie rozstrzygnie dość zagmatwaną sytuację ZLP, który podczas marcowych wypadków tak stracił na prestiżu. Wydaje mi się, że na tym Zjeździe nastąpi wreszcie zrównanie praw wszystkich pisarzy, tych, co mieszkają poza Warszawą i tych warszawskich. Są to wprawdzie sprawy pozaartystyczne i pozaliterackie, ale przecież ważne, bo decydują o udziale literatów z tzw. prowincji w kulturalnym życiu kraju. To zróżnicowanie jest widoczne chociażby w braku przedstawicieli terenu w pismach ogólnopolskich u kazujących się głównie w Warszawie, w niewielkich możliwościach i środkach pism prowincjonalnych, nawet tych, które mają debiet ogólnokrajowy.

To zróżnicowanie, moim zdaniem, szczególnie uwidacznia się w pracy młodych literatów z terenu i młodych pisarzy z Warszawy. Młodzi twórcy z prowincji, najczęściej, a właściwie zawsze, są nie tylko pisarzami, ale i działaczami społecznymi. Bardzo popieram taką dwiistość, bo uważam, że środowisko, w którym się żyje, zmusza do uczestniczenia w życiu społecznym. Nie wyobrażam sobie, żeby w takim mieście jak Łódź, gdzie tradycje kulturalne są żywotne dopiero od 25 lat, pisarz mógł się tylko zajmować piśmiennictwem. Dlatego cenię sobie nasze, łódzkie, nie zbyt jeszcze szeroko rozpowszechnione tradycje patronatów nad świetlicami i klubami. Jest kilkanaście takich placówek, stwarzających doskonałą okazję do kontaktów między literatem a odbiorcą. Wydaje mi się, że tu Zjazd mógłby poza wszystkimi ważnymi i najważniejszymi spr



wami być okazją do zastanowienia się nad postawami młodych pisarzy, bo choć to ryzykowne twierdzenie, młodzi tworzą poza tym wszystkim co się dzieje i ciągle jeszcze trudno jest określić ich postawę.

A przyszła działalność Związku Literatów? Trzeba chyba ustalić i unormować przede wszystkim jego pozycję. W tej chwili ZLP jest czymś w rodzaju spółki między prywatną inicjatywą, a instytucją zajmującą się działalnością socjalno-bytową. Przez zmiany w statucie ZLP powinien się stać organizacją ideowo-artystyczną. Określenie takich założeń programowych raz na zawsze może zapobiec przekształceniu Związku w swego rodzaju partię opozycyjną, o czym mogliśmy przekonać się podczas smutnych wypadków ostatnich miesięcy. Związek Literatów powinien być organizacją ideowo-artystyczną skupiającą twórców, zdających sobie sprawę z rzeczywiście w jakiej żyją, z tego, co tej rzeczywistości są winni i z tego, jaka odpowiedzialność na nich spoczywa.

W następnym numerze „Odgłosów” radzimy przeczytać:

SPRAWA HANSA KLOSSA
— Konrad Frejdlch
NOTATNIK WIEDENSKI
— Stanisław Kaszyński
ZACHÓD WIEDZIAŁ I MILCZAŁ
— Jan Bąbiński

HUMANISTYKA zaangażowana

Dalszy ciąg ze str. 1

a w najlepszym wypadku zaakceptują tylko te, która będzie mówiła o ich własnej klasowej genealogii. Lektura pamiętników robotniczych z XIX i XX wieku wskazuje nam, jak poczenie miejsce w procesie uświadamiania klasowego i narodowego miały dla ich autorów różne lektury o treści historycznej. Przyszły działacz komunistyczny obok książek socjologicznych i ekonomicznych z pasją czyta dzieła z historii powszechnej i polskiej. Z książek o treści historycznej, zwłaszcza — lecz nie wyłącznie — powieści (jakaż kolosalna rola pisarstwa J. I. Kraszewskiego i H. Sienkiewicza), czytanych przez autorów pamiętników, zebranych w tomie „Robotnicy piszą” (1936), można by utworzyć sporą

biblioteczkę. Robotnik i chłop w procesie — jak to określa J. Chałasiński — unaradawiania się warstw ludowych, stając się hegemonem narodu w procesie kształtowania się narodu socjalistycznego, sięga dziś po historię tego narodu, który on przecież stanowi, czuje się dziedzicem narodowej przeszłości i jej strażnikiem w nowej sytuacji dziejowej. I dlatego nie mogą mieć racji ci, którzy chcieliby robotnikowi i chłopu dawać do ręki tylko odpowiednio przyprawione namłaski. Wybitny historyk radziecki M. N. Pokrowski w 1926 roku tak odpowiedział, kiedy spotkał się z próbami preparowania dokumentów historycznych: „Jako komunista i historyk winniem powiedzieć, że od tej zasady winniśmy się odżegnać. My nie mamy żadnego prawa dawać do ręki chłopu i robotnikowi sfalszowane dokumenty, które zawierają w sobie nie to, co w nich rzeczywiście napisano. Naszym pierwszym obowiązkiem wobec proletariatu i chłopstwa jest mówić prawdę”.

Nie chodzi jednak tylko o zwykłe fałszywe, których katalog bywa czasem bardzo obszerny. Słusznie J. Chałasiński podkreślił, że „wyjaśnianie nowoczesnych procesów historycznych zasadniczo cierpi z powodu fałszywej perspektywy, wynikającej ze zbyt krótkich okresów czasu, w jakich są rozpatrywane”. Myślenie historyczne, to jest myślenie kategoriami zmiany i rozwoju, wymaga dostrzeżenia ich na dłuższych odcinkach czasowych. „Wymaga ono — pisze autor — aby o zjawiskach teraźniejszości jak i przeszłości społeczeństw i ich kultury myśleć kategoriami rodzenia się i obumierania, kategoriami rozwoju, jednostki i zbiorowości, klasy i narodu, indywidualności człowieka i całej ludzkości, mając jednocześnie na uwadze całość procesu historycznego, jego fazy dawniejsze i teraźniejsze, jego wielostronność i złożoność, we-

wnętrzną współzależność różnych stron procesu, różną w różnych epokach i nie dającą się sprowadzić do jednej zasady”. Myślenie historyczne — „nie pozwala sztywnie rozdzielać i przeciwstawiać przeszłości i współczesności. Zbliża do rzeczywistości współczesnej. Upolitycznia myśl badacza w głębokim, naukowym rozumieniu, ale jednocześnie jest dla niego samoobroną przed utożsamianiem nauki z bieżącą, aktualną polityką i utożsamianiem humanisty z propagandzistą politycznym, którego zadania są określane przez dobrane potrzeby życia politycznego” (podkreślenie J. Chałasińskiego). Myślenie historyczne „nie pozwala traktować bieżącej chwili jako alfy i omegi całego procesu dziejów narodu i ludzkości” — konkluduje J. Chałasiński.

Przykrwanie dziejowej rzeczywistości do potrzeb chwili bieżącej, fałszowanie historii dla celów dożadnego zapotrzebowania na dziś, dostarczenie społeczeństwu lekkostrawnej, ahistorycznej papki legitymującej aktualną teraźniejszość, zamiast wyjaśniania jej w szerskiej, historycznej perspektywie, utożsamianie nauki z bieżącą polityką, a humanisty z propagandzistą — mają swoje wspólne źródło w instrumentalnej wizji świata.

Właśnie przeciwko niej występuje z pasją socjolog — humanista. Wizji świata socjotechno-menagerskiej, popularyzowanej u nas przez niektóre kierunki socjologiczne, przeciwstawił wizję humanistyczną. Struktury: teraźniejszość — cywilizacja — kultura masowa — struktury ponadnarodowe, przeciwstawił strukturę: Historia — Kultura — Osobowość — Naród. Bada miejsce człowieka we współczesności w jego historycznym uwarunkowaniu, w jego kulturowej swoistości. W kategoriach kultury i narodu — a nie abstrak-

cyjnych schematach oderwanego od dziejowej rzeczywistości społeczeństwa — widzi osobowość człowieka, podkreśla, że jej autonomiczność pojawia się jako rezultat tego, „że jednostka przestaje być od urodzenia przytwierdzona do jednej grupy społecznej i do jednego systemu wartości grupowych”. Uprawia humanistyczną socjologię narodu, nawiązując do wielkich tradycji humanistyki polskiej, znaczących nazwiskami F. Znanieckiego, B. Malinowskiego czy J. Bystronia, „dzisiaj niesłusznie zepchniętych na margines socjologii współczesnej. Świadomość narodową rozpatruje jako formę kultury. Bowiem rozwój idei narodu i narodowej świadomości sprzągał się w czasach nowożytnych z rozwojem idei socjalizmu. „Świat współczesny — powiada — nie jest w sytuacji, w której naród i „nacionalizm” straciły na znaczeniu jako siły biorące aktywny udział w formowaniu się nowej, ponadnarodowej struktury ludzkości. Przeciwnie, to właśnie narody są zasadniczymi partnerami w budowaniu nowego świata”. Socjalistyczna rewolucja, „jaka dokonała się w naszym kraju, nie osłabiła żywotności tej historycznej formacji, jaką stanowi naród, ale „zdemokratyzowała jej wewnętrzny strukturę przez niwelację ostrych klasowych barier dawnego społeczeństwa kapitalistycznego; rewolucja socjalistyczna otworzyła drogę dla narodu o charakterze ludowym”. Spogląda na rewolucję socjalistyczną jako na proces odkrywania własnego narodu przez klasy dotąd upośledzone, w jego integracji dostrzega centralny problem współczesności. „Wielkim procesem historycznym dwudziestolecia Polski Ludowej jest trwający, poszerzający się i pogłębiający proces integracji narodu”.

doc. dr ANDRZEJ F. GRABSKI

TECHNICY są wśród nas

Dalszy ciąg ze str. 1

treby w zakresie wzrostu kadry technicznej na poziomie średnim nieustannie rosła. Na naszych oczach formalnie odbywa się prawdziwa rewolucja w sprawach wytwarzania wielu wyrobów przemysłowych, na barki techników spadają rozliczne obowiązki związane z wdrażaniem nowych maszyn i urządzeń, kontrolą ich funkcjonowania, przekładaniem postępu technicznego, na zwykły język zadań produkcyjnych każdej fabryki. Te potrzeby rosną w tym stopniu, że np. w 1975 roku gospodarka narodowa pragnie zatrudnić już 690 tys. techników.

OD SZWACZKI DO SZEFA PRODUKCJI

Ale nie tylko struktura nowoczesnej organizacji produkcji w fabryce jest przyczyną wielkiego zapotrzebowania na średnią kadrę techniczną. Techników trzeba nam coraz więcej, gdyż coraz dotkliwsze są luki w obsadzie inżynierskiej, coraz częściej zdarza się, że miejsce „przypisane” inżynierowi zajmuje z konieczności organizacyjno-produkcyjnej zwykły technik. Abstrahując od tego, że bardzo często zajmuje on to miejsce z... powodzeniem i z

pożytkiem dla przedsiębiorstwa — trzeba uznać, że nie raz technik jest zwykłym „pogotowiem ratunkowym” dla dyrekcji, że przy jego pomocy lata się najdotkliwsze dziury w obsadzie. Z braku inżynierów jeszcze w 1975 roku technicy będą zajmować w naszym kraju około 15 proc. stanowisk typowo inżynierskich.

Oczywiście natychmiast na suwa się pierwszy postulat — wykorzystać jak najlepiej posiadane kadry techniczne, aby ich praca na co dzień w najlepszym stopniu zaspokajała potrzeby zakładu. Że jednak z tym wykorzystaniem w dalszym ciągu nie jest idealnie — o tym świadczy choćby ostatnio przeprowadzona ankieta w najbliższym nam środowisku techników — w Łodzi i województwie. Odpowiedzi na pytanie dotyczy cząste funkcji i zakresu obowiązków spełnianych w przedsiębiorstwie mogą zdumieć nawet laika. Bo oto gdzie w fabrykach Łodzi i województwa możemy spotkać techników. Wymienimy ich aktualne funkcje: konstruktor główny dyspozytor, energetyk, brakarz, starszy referent d/s produkcji, mistrz, kalkulator, tokarz, ślusarz, referent techniczny, tkacz, starszy rachmistrz, starszy technik, kiero-

wnik administracyjno-gospodarczy, księgowy, kierownik magazynu, szwaczka, technologia, robotnik, kierownik działu, brygadziści, zastępca naczelnego inżyniera, główny mechanik, kosztorysant, inspektor działu wykonawstwa, kierownik-zawodowca, krawiec, szef produkcji, starszy inspektor d/s technicznych, z-ca kierownika wydziału przygotowania produkcji, laborant, pracownik kancelarii, skarbnik rady zakładowej, monter...

Te ankiety przeprowadził Oddział Wojewódzki NOT w Łodzi — m. in. po to, aby w oparciu o sytuację kadry technicznej (ankieta była przeprowadzona z zachowaniem pełnej anonimowości) szukać najlepszej drogi poprawy, dróg rozwoju zarówno ilościowego jak i jakościowego techników, a w tym celu — w ankiecie były również pytania dotyczące osobistego odczucia satysfakcji, zadowolenia z pracy, aspiracji itp. Trzeba więc już na samym wstępie powiedzieć, że niemal pięta część ankietowanych techników (a pracuje ich w Łodzi i województwie około 20 tys.) uważa, że ich praca nie jest zgodna z posiadanym kierunkiem wykształcenia i przygotowania zawodowego. A więc co piąty technik niezadowolony? Idźmy dalej. Połowa techników nie otrzymała w ciągu ostatnich dwóch lat awansu, co gorsze — aż 75 proc. ankietowanych twierdziło, że przeciętna płaca technika jest niższa w ich zakładzie od przeciętnej płacy robotnika wykwalifikowanego. Ten ostatni fakt wypisany w ankietach brzmi jak antybożkie, gdy się przyjmie rangę pracy technika w odczuciu społecznym, odpowiedział

noś i poziom wykształcenia, itp. No, ale być może — odpowiedzi na ostatnie pytania pochodzą z fabryk, gdzie techników nie obarcza się zbyt dużą odpowiedzialnością...

WYZNANIA TECHNIKÓW

Ankietowanych było prawie 200 techników — w stosunku do całej rzeszy około 20-tysięcznej, materiały ankiety nie są zatem zbyt reprezentatywne. Niemniej jednak szczerze wypowiedzi i w tej ankiecie jest cenna, gdyż rzuca światło na wiele zjawisk z codziennego życia przedstawicieli średniej kadry technicznej. Bo posłuchajmy:

— Pracy więcej skomplikowanej wymagającej myślenia mam bardzo mało.

— Pracuję tylko w celach zarobkowych, ponieważ mam pracę, przy której w małym stopniu mogę wykorzystywać nabytą w technikum wiedzę.

— Do techników włókienniczych przyjmowane są w większości dziewczęta, ale później w fabryce kobietom trudno zajmować stanowiska mistrza lub podmistrza, zatrudnione są gdzie indziej, niezgodnie z wykształceniem, co nie daje im zadowolenia.

O czym powyższe wypowiedzi świadczą? O tym, że w niektórych przedsiębiorstwach nie docenia się roli technika w procesach produkcyjnych, nie widzi się jego funkcji jako istotnego kierownika procesów produkcyjnych, nie stwarza wyraźnych perspektyw dalszego rozwoju i pracy nad sobą. Można też wysnuć wniosek, że w odniesieniu do pewnych kierunków szkolenia zawodowego mało zgrane są możliwości tzw. wysypu absolwentów z możliwościami odpowiedniego ich zatrudnienia

(np. te dziewczęta z techników włókienniczych).

Niemal 17 proc. odpowiada na pytania ankiety stwierdziło, że w przedsiębiorstwie pracują jako brygadziści lub robotnicy. Dlaczego nie otrzymali zajęcia adekwatnego do posiadanej wiedzy? Odpowiedzi są bardzo różne. Jako przyczyny nieodpowiedniego przydziału pracy podaje się następujące:

— zła polityka finansowa, zła polityka kadrowa w fabryce,

— niższe w danym przedsiębiorstwie płace techników od płac robotników wykwalifikowanych,

— krótki staż pracy, brak wolnych etatów, chwilowe potrzeby, konieczność zdobycia praktyki,

— W pewnej fabryce zatrudniającej 74 techników ze średnim wykształceniem aż 18 pracuje na stanowiskach robotników, 13 spośród nich nie chce pracować na stanowiskach techników, gdyż obecnie więcej zarabiają... No, ale są to raczej przypadki skrajne. Jest faktem — i to udowodnia ankieta — że większość techników pracuje na stanowiskach mniej więcej odpowiadających kierunkowi zdobytej wiedzy (73 proc.). Pozytywny również jest moment przydzielania technikom w konkretnych warunkach i w odniesieniu do konkretnych potrzeb stanowisk inżynierskich. Aż 9,8 proc. ankietowanych pracuje na takich stanowiskach,

AMBICJE I KIERUNKI ROZWOJU

Zatrzymajmy się na chwilę przy problemie życiowych ambicji techników. Na pytanie, czy chcą się dalej uczyć (7 proc. techników już obecnie studiuje na wyższych uczelniach technicznych) aż 66 proc. ankietowanych odpowiedziało, że swą pracę traktują jako fazę przejściową do dalszego kształcenia się, że aktualnie wykonywane obowiązki nie spełniają jeszcze życiowych aspiracji. I te odpowiedzi budzą chyba największą otuchę. Ta ogromna, podstawowa kadra techniczna przejawia wielką ambicję doskonalenia się, opanowywania tajemnic postępu, jaki niesie każdy rok naszego współczesnego życia. To stwierdzenie ma swoje pokrycie w odpowiedzi na pytanie: czy praca wykonywana daje zadowolenie. Otóż 74,7 proc. ankietowanych odpowiedziało, że ich praca jest ciekawa, pobudza do dalszego doskonalenia zawodowego.

W jaki jednak sposób zapewnić tej ambitnej części techników z naszego przemysłu najlepsze warunki dalszego rozwoju? Oni sami odpowiedzieli, że trzeba na tej

drodze usunąć wiele przeszkód. A więc — zatrudnić zgodnie z kierunkiem wykształcenia, lepiej przystosować stawki płac techników do wykonywanej przez niego funkcji i związanej z nią odpowiedzialnością, udoskonalić praktykę stażu, zwiększyć zainteresowanie pracą technika ze strony kierownika zakładu, lepiej wyposażać w odpowiednie narzędzia w odpowiedni sprzęt techniczny, umożliwić szersze zapoznanie z ogólną problematyką produkcyjno-techniczną przedsiębiorstwa, odciążać od pracy administracyjno-papierkowej itp. Trzeba przyznać, że w tym myśleniu o sposobach poprawy sytuacji ogółu techników są oni samokrytyczni. Widzą i swą własną rolę a nie tylko postulaty. Tak na przykład uważają, że już w szkole zawodowej czy technikum więcej czasu powinni poświęcać na praktykę, że oni sami powinni pracować bardziej odpowiedzialnie jako prawdziwi kierownicy produkcji, że stale powinni się doskonalić w zawodzie.

Ankieta dostarczyła jeszcze jednego wniosku. Przekonała, że technicy doskonale widzą rozgraniczenie ról między sobą a pracą inżyniera. Inżynierowi zbstawiają to, co istotnie powinni oni robić w przedsiębiorstwie: myśleć koncepcyjnie nad wprowadzeniem nowych rozwiązań i najnowszej techniki do produkcji. Ponieważ jednak w wielu przypadkach trudno praktycznie narysować granicę między podwórkiem inżyniera i technika i że również w przyszłości spora ilość techników pracować będzie na stanowiskach w zasadzie zapewnionych i przewidzianych dla ludzi z wyższym cenzurem technicznym — rodzi się myśl: a może ułatwić technikom — oczywiście tym najambitniejszym, najlepiej spisującym się w zakładzie — zdobycie tytułu inżyniera? Chodzi bowiem już nie tylko o to, że ciągle będzie nam brakowało inżynierów (z uwagi m. in. na wielką dynamikę rozwojową naszej gospodarki), ale i o zaspokojenie ludzkiego postulatów uznania dla ludzkiej postawy, ludzkiej pracy i osobistego zaangażowania.

Na pewnej naradzie poświęconej problemowi przyszłości kadry techników poruszono o ten problem. Żył nim środowisko techników i swój punkt widzenia precyzyjnie następująco: po 15 latach pracy z dobrymi wynikami w działalności produkcyjnej i społecznej — umożliwić technikom wstąpienie na 2-letnie studia zaoczne, dające tytuł inżyniera. Ten ludzki i społeczny problem jest zdaje się do rozwiązania i chyba do załatwienia.

FELIKS BĄBOL



Benon Liberski — „Martwa natura” (olej)

Fot. A. Idziński

KAROL BADZIAK

KLUB pod RAU SZEM

Jest w naszym mieście taki Klub, który swą legendą przyciąga nie słynne, hamburskie tawerny. Widziano w nim nagie dziewczęta tańczące kankana na fortepianie. Widziano i najsłynniejsze gwiazdy nadwiślańskie. Te dla odmiany nie na fortepianie, lecz pod stołem. Widziano pijaną rozróbę, totalną rozpustę i frontalne mordobicie. Jednym słowem widziano Sodomę i Gomorę a może i jeszcze coś więcej.

Kto widział? Nikt. Kto słyszał? Wszyscy. W pierwszym rzędzie ci wszyscy, którzy tam nigdy nie byli. Słyszeli tylko z opowieści, resztę

doświadczała im brudna i mroczna jak bezsenność noc dewotki wyobrażenia. Stawcy bywalcy, owszem, widzieli co nieco, ale nie pamiętają. Bo i rzeczywiście nie ma co rozpamiętywać. Historia Klubu faktycznie notuje scysje towarzyskie wieńczone sporadycznie rękoczynami. Ale to są incydenty, które zdarzają się raz do roku. W innych lokalach gastronomicznych, czynnych do późnej nocy, awantury zdarzają się codziennie.

Smutne natomiast jest to, że cała działalność Klubu Związków i Stowarzyszeń Twórczych (bo o nim tu mowa) przestania restauracja. Sama restauracja rzecz dobra i potrzebna. Artyści, ludzie trunkuwi, w większości samotni, potrzebują zjeść i czasem nawet zapieść swe twórcze rozterki, niepowodzenia i sukcesy jako, że harcerzami już dawno być przestali.

Zarząd Klubu usiłował zmienić charakter lokalu. Próbowano urządzić spotkania z interesującymi ludźmi, odczyty, dyskusje, organizowano wystawy plastyczne, występy artystyczne itp. Były to wysiłki piękne, lecz sztyfowe, szybko rozplywały się w gwarze gastronomicznego brzęku szkła...

Wejźmy razem z aktorami na salę po skończonym spektaklu. Adresu nie podaje, zna go na pamięć każdy łódzki taksówkarz. W drzwiach powita was sympatyczny, starszy pan, zwany nie wiado-

mo czemu Dziadkiem Orzełkiem. Człowiek z niego przytomny, uprzejmy, trzyma się godnie, rękę pierwszy nie wyciągnie choć pieniądze nie wzgardzi. Na podchmielonych patrzy surowo, z lekkiem odzieniem przygany, ale bez spotykanej u zawodowych cerberów obraźliwej bezczelności i arogancji. W jego oczach czai się raczej troska i filozoficzny smutek człowieka, którego już nic nie zdziwi ponieważ widział więcej niż z rachunku prawdopodobieństwa, by na niego przypadła.

Dziadek Orzełek na wasze niecierpliwie pukanie (jeśli jest już godzina późna w nocy) najpierw uchyli nieznacznie wielkie drzwi, oceni wprawnym okiem wasz stan oraz stopień przynależności do Klubu, dopiero wtedy otworzy drzwi piekła. Im gości cechuje większy stopień zażyłości z Dziadkiem tym natarczywiej dobijają się do drzwi. Pijane pięści w debowych drzwiach wyłobily wglębienie. To wglębienie jest miarą pasji i żądy, miarą upokorzeń i poniżenia jakich musiał doznać człowiek, którego już nic nie zdziwi ponieważ widział więcej niż z rachunku prawdopodobieństwa, by na niego przypadła.

ulec zbiorowemu naporowi i desperacji klientów.

W rezultacie w godzinach wieczornych ten ekskluzywny Klub Artystów nabiera charakteru wyjątkowo demokratycznego. Demonicznego również. Znajdują się tam wszyscy, którzy tylko zechcą i których już nie zechce nikt, nawet najpodrzedniejsze knajpy. To nie wina personelu. Blask złej sławy tego lokalu tak nęci, że każda okoliczność i okoliczność dziewczyna z najporządniejszego domu marzy o tym, aby choć raz w życiu tam się dostać, dotrzeć do tego miejsca budzącego dreszcz grozy i emocji, do tego źródła rozpaczy i rozwiązości, ujrzeć na własne oczy żywych artystów, mo że nawet samego Gołasa. Toż to szczyt szczęścia, absolutna euforia. Właściwie już po to tylko warto się było urodzić. Podobno spotyka się takie co piły brudzia z samym Miciem, oczywiście Voitem. To rozumieć, to jest życie. To jest radość. Niebo. Raj. Błysk. Blask.

Piszący te słowa miał mniej szczęścia. Brudzia wprawdzie nie pił, choć w ogóle tak, ale na drugi dzień po przebudzeniu skonstatował brak zegarka. Rano w redakcji czekała na niego koperta i zegarek. „Uczyliłem to mimo woli, w pierwszym odruchu — pisała piękna nieznajoma — ale jak się dowiedziałam, że to był Pan Redaktor, postanowiłam zwrócić”.

Wspaniały gest, godny królowej nocy. Korzystając z okazji pięknie Szanownej Pani dziękuję za niecodzienną — jak się domyślam — wspaniałomyślność.

Blask sławy tego Klubu działa również magnetycznie na wszelkiej maści snobów. Bywać w SPA TIF-ie, znać osobieście samego Bena, być na ty z babcią kłozetową czyż to nie wielki zaszczyt. Runda w SPATIF-ie to ekwiwalent za kompleks małowartościowości, za nędzę, szarych dni egzystencji nawianych na kalendarz bez kolorowych kartek, za pustkę wewnętrzzną, za nudę codzienności, za brak sensu i bezzbrzytny smutek jałowej anonimowości.

Po sforsowaniu gościnnych progów lokalu Dziadek Orzełek serwuje klienta szatniarom. Im właściwie należałoby poświęcić odrębny poemat, ale miejsca brak. Ludzie to serdeczni, familiarni, stwarzający na samym wstępie atmosferę rodzinną, miłą, bezpieczną. Metalowe u nich charaktery. Nerwy stalowe, zdrowie żelazne, serca złote. W sumie tworzą zbrojne ramie rozkołysanego lokalu. Dla swoich potrafią być troskliwi jak nianki, dla obcych, przypadkowych, brutalni i oschli. Lecz niestety, tych przypadkowych coraz mniej, wszyscy z czasem stają się nieprzypadkowi. Grono bywalców Klubu przewyższa kilkakrotnie liczbę członków łódzkiego środo-

UWIE ZIONE W KORYN CCIE



Zimą ubiegłego roku byłem obecny przy dochodzeniu milicyjnym, prowadzonym przez komisariat kolejowy w Kuluszkach. Stałem wobec faktu wstrząsającego, chociaż w istocie chodziło tylko o ustalenie ewentualnej winy stręczycielstwa i o akcję profilaktyczną.

Trzy dziewczynki w wieku 15—16 lat zakradły się wieczorem do pomieszczenia zajmowanego przez dwunastu pełnoletnich chłopców, ukryły się przed wychowawcami pod stołem, łóżkami... Czy były świadome tego, co je praktycznie czeka? To pytanie nie dawało mi spokoju w czasie dochodzenia. Dziewczynki wyjechały jak co dzień do szkoły technicznej, oddalonej od ich miasteczka o kilkanaście kilometrów. Tym razem do szkoły nie poszły, postanowiły przeżyć swoją „wielką przygodę”. Dwie z nich w rozmowie z funkcjonariuszami nie wykazały ani odrobiny wstydu, odpowiadały milicjantom ze swoim rodzajem dumy.

Przekrój społeczny? Bardzo trudno na to odpowiedzieć. Jedną z nich — powiedzmy Mariola — jest córką zawodowej prostytutki wiejskiej. Ona właśnie zorganizowała grupę dziewcząt, popchnęła je do nierządu, jak to lapidarnie określili sierżant z „kolejówki”. Druga — powiedzmy Zosia — jest córką wysokiego urzędnika, który opuścił żonę. Zosia jest dziewczyną zbuntowaną przeciwko ojcu i matce, przeciwko całemu światu. Najmłodsza z nich — powiedzmy Ewa — jest typem dziewczyny zupełnie niewciągniętej w całą historię: po raz pierwszy brała udział w takiej „przygodzie”, była nieco zalekniona w czasie dochodzenia, mówiła szczerze, wszystko do końca, co jej koleżanki kwitowały pogardliwym uśmiechem jako „sypanie szlamy”.

Mariola i Zosia nie po raz pierwszy zbożyczyły ze szlaku do szkoły, nie po raz pierwszy trudniły się nierzędem. Ich nazwiska nieobce są komisariatowi MO. Ewa poszła razem z nimi z solidarności koleżeńskiej, z jakiejś przekornej chęci „dorównania”.

2.

Często — zupełnie niesprawiedliwie — kobieta jest nazywana nierządnicą, albo o wiele gorzej — o czym każdy z dorosłych czytelników wie. Jakże istnieją kryteria, aby taka ocena społeczna

mogła zaistnieć? Socjologzy postarali się o stworzenie modelu definicji prostytucji i nierządu. Do tego, aby kobieta była prostytutką — powiadają — wymagane są trzy czynniki: wyjątkowo częsta zmiana partnera, obojętność emocjonalna towarzysząca stosunkom seksualnym i czerpanie korzyści materialnych z uprawianego procederu. Oczywiście mogą to być korzyści w relacji finansowej lub np. w postaci awansu — w każdym razie korzyści nie związane z zadowoleniem seksualnym. Uprawianie nierządu będzie pojęciem bardziej płynnym, ponieważ z podanej definicji prostytucji może zostać usunięty jeden z czynników, np. obojętność. Krótko mówiąc, istnieje dość niejasna granica różniająca prostytucję zawodową od szereckiego, słabo uchwytnego marginesu nierządu.

Takie miasta jak Łódź, Katowice, Trójmiasto, są z natury rzeczy ośrodkami wybujałej prostytucji zawodowej. Wszystkie badania socjologiczne wskazują na związek środowiska wielkomiejskiego, przemysłowego i portowego z rozwojem prostytucji. W tej chwili na terenie Łodzi posiadamy wskaźnik niepokojący: jedna prostytutka zawodowa na tysiąc mieszkańców. Tutaj należy od razu podkreślić, że mowa jest o prostytutkach ujętych ewidencyjnie przez Komendę Miasta MO. Cały szereg przykładów świadczy o tym, że szeroki margines nierządu i prostytucji jest mało uchwytny, nierejestrowany zarówno w sensie lekarskim jak i karnym. Jeśli używam słowa „karny”, to mam na myśli wchodzenie w kolizję z prawem w zakresie wywoływania awantur, stręczenia, kradzieży, kuplerstwa itd., ponieważ sama prostytucja jako taka nie jest ani ścigana ani karana w ustawodawstwie.

3.

Wysoki funkcjonariusz Komendy MO opowiadał mi o specyficznym przypadku, gdy prostytutka wzywana na badanie lekarskie, wyszła do sierżanta MO z kawiarni „Grand”, gdzie umawiała się z klientem, podeszła do czekającej na nią taksówki, grzecznie poprosiła funkcjonariusza do samochodu, podjechała pod ambulatorium lekarskie — w tym czasie taksówka również czekała — poddała się badaniom i wróciła tą samą taksówką do kawiarni „Grand”.

Drugi, skrajnie przeciwny wypadek: Pewna studentka zamieszkała na Widzewie udała się po zakupy na Piotrkowską. Tam poznała w ciągu dosłownie dwóch minut przystojnego pana, z którym udała się do kawiarni, a następnie do piwnicy jednego z domów przy ul. Piotrkowskiej. W związku z tym, że na następnym spotkaniu jej partner nie stawiał się, dziewczyna złożyła oskarżenie o dokonanie gwałtu.

Dwa odrębne przykłady. W jednym wypadku chodzi o zawodową, w miarę elegancką prostytutkę, uprawiającą swój zawód z pewnym poczuciem godności profesjonalnej — w drugim zaś o dziewczynę, która po prostu nie zadaje sobie trudu przy wyborze partnera i ma dosyć luźne kryteria moralne. Jak wygląda w praktyce odrębność środowiska, hierarchia w zawodzie prostytutki? Bo przecież jest to zawód stary jak świat, rządzący się pewnymi określonymi prawami.

Badania socjologiczne przeprowadzone przez Komendę Miasta MO wskazują z jednej strony na małe wymagania męskiego środowiska łódzkiego, z drugiej zaś strony wskazują na ciekawe podziały środowiskowe wśród samych prostitutek. Wymagania „klientów” mają duży związek z przeciętną wiekiem omawianych tutaj kobiet. Dość zauważyć, że w Łodzi przeciętna wiekiem prostytutka zawodowa wynosi ponad 32 lata, a przeciętna wiekiem, w którym te kobiety wchodzą na drogę nierządu —

około 24 lat. Nie oznacza to, że brak jest nierządnie młodocianych, rozpoczynających swój proceder w 17., 16., a nawet przed 15 rokiem życia. Na drugim biegunie znajduje się ponad 50 kobiet będących aktualnie w wieku od 46 do 63 lat. Dane dotyczące wykształcenia wskazują, że najczęściej prostytutki posiada skończoną szkołę podstawową — trafiają się jednak analfabety (również zjawisko analfabetyzmu wtórnego). Ponad 15% prostitutek posiada wykształcenie średnie (w tym także niepełne). One stanowią — rzecz ciekawa — rodzaj arystokracji zawodowej uznanej przez własne środowisko. Nie zarejestrowano natomiast nigdy prostytutki z wykształceniem wyższym.

Ważnym sygnałem jest następujące stwierdzenie dokonane przez autorów badań socjologicznych Komendy Miasta MO: „abstrahując w tym miejscu od innych przyczyn, fakt, że przeszło połowa badanych w okresie życia decydującym dla całej przyszłości, w okresie gdy wkracza się na próg samodzielnego myślenia i indywidualnego rozstrzygnięcia pewnych problemów, a więc w okresie przełomowym — startowała z nierównymi szansami, obciążona balastem trudnego dzieciństwa, konfliktów rodzinnych, brakiem należytej opieki — musiał w jakiś sposób wyrzucić swoje piętno na dalszej karierze życiowej”.

Jest to wniosek ankiety, dotyczący pochodzenia prostitutek z rodzin niepełnych i rozbitych, jak również wczesnego ich sieroctwa bądź porzucenia przez rodziców.

Zróżnicowanie środowiska jest wszechstronne: są prostytutki — panny, mężatki, rozwiedzione i wdowy, są obciążone dziećmi i bezdzietne, są takie które na krócej lub dłużej przyjmują jakąś pracę fizyczną albo umysłową w jednym z wielu przedsiębiorstw łódzkich (o tych kobietach socjologzy i funkcjonariusze powiadają, że stanowią materiał bardziej podatny na wpływ resocjalizacyjny i mniej się wiąże ze światem przestępczym).

4.

W lutym 1967 r. wyrokiem Sądu Powiatowego dla m. Łodzi skazana została na trzy lata więzienia za naruszenie przepisów Ustawy, artykułów 208 i 209 kk 47-letnia Stanisława K. Akt oskarżenia zarzucał jej, iż w okresie lat 1965—1966 odpłatnie udostępniała swoje mieszkanie prostytutkom i ich partnerom oraz że w tym samym okresie uczyniła z młodej, 17-letniej dziewczyny prostytutkę. By sprostać niektórym wymaganiom klientów, przejęła mianowicie „na wychowanie” przebywającą „na ucieczce” z zakładu wychowawczego młodą dziewczynę. Wykorzystywała ją początkowo do różnych gospodarczych czynności, stopniowo oswajała z atmosferą domu i przekazywała własne doświadczenia. Zmusiła w końcu małoletnią, po uprzednim upojeniu alkoholem, do odbycia stosunku z bywałcami meliny.

Ogromny jest zakres interwencji milicyjnych w świecie, z którym powiązane są elementy przestępcze i prostytucyjne. Wydaje mi się, że właśnie milicja jest jedną instytucją w naszym mieście, która konsekwentnie walczy z tym zjawiskiem. A problem nie jest bynajmniej łatwy, skoro zważy się że znaczna część prostitutek zataja swoje miejsce pobytu, nie posiada aktualnych dowodów i meldunków, a nawet prawa pobytu na terenie Wielkiej Łodzi. Stąd poważne utrudnienia w pracy funkcjonariuszy.

Drugim groźnym zjawiskiem, które towarzyszy prostytucji, obok powiązań ze światem przestępczym jest wzrost zachorowań

Dalszy ciąg na str. 10

wiska twórczego, majoryzuje to środowisko, na jego konto rozrabia, bawi się i pije. Nierzadko nawet na jego rachunek. Twórcy dają firmę, męty społeczne styl, twórcy dają formę, męty społeczne wypełniają ją swoją chamską treścią. Dzięki temu atmosfera w Klubie jest ponura, dzika, barbarzyńska. Toczy się zabawa bez polotu, finezji, dowcipu, humoru i błyskotliwości.

Najsympatyczniejsi jeszcze w tym lokalu są kelnerzy, choć często pijani ponad elementarną przyzwoitość. Ale to wina gości, którzy zamiast napiwku stawiają im wódkę. Kelnerzy są ogólnie lubiani i goście chętnie wybaczą im drobne pomyłki w rachunkach. Tym bardziej, że kelnerzy częściej myślą na swoją niż na gości niekorzyść. Widocznie na swoje jednak wychodzą, gdyż radość życia i pogoda ducha nigdy ich nie opuszczają. Tworzą brygadę malowniczą, poufałą, klientom serdeczną i życzliwą. Dowodem, że wszyscy wolają ich pieszczotliwie: Zdziś, Rysio, Glenio, Gienluchna. Cały personel jest tylko funkcją, obrazem, zwierciadłem gości. Jakichś nas wychowali takich nas macie. Złego słowa nie dam na nich

powiedzieć. Skończyły się czasy krytykowania kelnerów.

Spójrzmy okiem po sali. Jest czwartek, sobota, niedziela, zresztą nieważne jaki dzień, gra orkiestra, jest zabawa, noc, SPATIF pły nie na fali, drzy, huczy, szumi, belkocze, wiruje, szaleje, spoczone gęby, spoczone ręce, sto dwadzieścia procent pijanego szczęścia. Zamglone oczy, przymglone światła, zamglone butelki.

Panie Ryśku, jeszcze pół litra i dzwonek śledzia, nie, śledzia nie śledzia nie trzeba, butelka wody sodowej wystarczy, śledź za drogi, nie przyszlizmy się tutaj obżerać tylko pić co kolega podaje czyj kolega orkiestra gra emerytowany Gene Kelly wschodniej Europy tańczy stepuje drga drzy skrzypli rzeźli Dzierzgwą się śmieje śmiechem żarliwym zaraźliwym wesołym pijanym śmiechem solista stepuje swój upiorny taniec pijana sala pijane ściany puste oczy nie zapomniane dni ty nauczyłeś mnie jak cenić szczęście kelner wódki bo trzeźwieję to była moja rola wymarzona wysniona nie dali wygrzyli co do jasnej cholery z tą wódką tępią mnie niszcza stary pożycz dychę jak się cieszę że pana poznałam wtryskar ka mi się zepsuła straciłem kupę forsy przerzucam się na produkcję szelek po ten kwiat po ten kwiat

czerwony nie znoszę kwiatów ty artysta postaw wódkę co nie masz za co to ja ci postawię barmanka cztery koniaki piętrowe te najdroższe ma się rozumieć więc dzisiaj na planie co się działo co się działo wolisz pończoszki czy sweterki a jutro dostaniesz drugą ludzie co za noc co za noc już dawno się tak nie ubawilem tu jest szalenie przyjemnie ludzie jak żyć wola na pełny regulator pijany menas.

Stop. Dość. Koniec. Wszyscy już zapicli, taśmy się rwą, strzępią, luki w życiorysach. Ogólny kocioł. Płaczą się języki, nogi, stoliki. Wre zabawa kanciasta, posępna, tragiczna, zamoczona, zaperfumowane włoki walają się od stolika do stolika, zbratane w potępieńskich uściskach. Brzęk tłuczonego szkła, chmura dymu, ścisk, tłok przy bufecie, dobrze jest. Naprawdę dobrze. Tak wygląda pijane szczęście. Radość pijanych choćołów w tanecznym rytmie alkoholu. Nie ma się tu czego gorszyć i z czego śmiać. Z samego siebie. Z samych siebie.

To zgorzenie jest paskudniejsze od pijanej zabawy. Jest wredne. Wszyscy pomstują na ten Klub, wszyscy się go wstydzą, wszyscy odcinają od niego. Oczywiście, wszyscy bywalcy, a więc członkowie siedmiu stowarzyszeń twór-

czych Wielkiego Miasta Łodzi i „wprowadzeni goście”.

Obraz tego Klubu jest oskarżeniem, wyrzutem sumienia, rozpaczą i wstydem, żeby nie powiedzieć emfaticznie hańbą. Klub ma bowiem charakter środowiskowy. Na jego czele stoi Zarząd. W skład Zarządu wchodzi formalnie przedstawiciele filmowców, aktorów, architektów, fotografików, ma larzy, muzyków i historyków sztuki. Przeglądałem księgę protokołów zebrań Zarządu Klubu. Obecni: „Prezes p. Fetter, p. Mazanek, kierowniczka restauracji i księgowy”, reszta nieobecna. I tak całymi miesiącami, latami. Nikt się nie interesuje, nikogo to nie obchodzi. Obojętność, inercja, ogólna niemożność. Środowisko twórcze naszego miasta otrzymało od życiowych władz miejskich piękny lokal i zamieniło go w ponurą knajpę.

Właściwie jest tylko jeden, jedyny człowiek, dzięki któremu ta instytucja w ogóle jeszcze egzystuje. Tym człowiekiem jest starszy, siwy pan, architekt z zawodu, — inżynier Ryszard Fetter. Wspiera go od czasu do czasu p. Mazanek, rzadko p. Iwiński. Od pięciu bodajże lat pan Fetter stara się o wykwaterowanie lokatorów z całego budynku, o dotacje z Wydziału Kultury, o sprzęt,

meble itp. O trudnościach z wykwaterowaniem niech świadczy fakt, że jednemu z nich zaproponowano ponad pięćdziesiąt mieszkań zastępczych. Jeszcze mieszka. Z innymi również były podobne kłopoty, lecz jakoś łatwiej udało się je załatwić.

Budynek, który władze naszego miasta ofiarowały (tak, ofiarowały) środowisku artystycznemu Łodzi wygląda na zewnątrz dość podle, natomiast wewnątrz ma wyjątkowo atrakcyjne, ładne. Można by z niego urządzić prawdziwą siedzibę kultury, sztuki, rozrywki, relaksu. W żaden sposób nie uczyni tego jeden człowiek. A przecież potrzeba takiej środowiskowej placówki w naszym mieście istnieje. Oczywiście chodzi o Klub z prawdziwego zdarzenia. O jego społecznej roli i randze nie będę wspominał, nie mam zamiaru o tym nikogo przekonywać. Niniejsza publikacja adresowana jest przeciwko do ludzi inteligentnych.

KAROL BADZIAK

*) Potocznie, zwyczajowo ustaro się nazywa Klub „Spatifem”. Faktycznie SPATIF jest jednym z wielu współgospodarzy.

Rysowała:

M. Kapuścińska

EWA

OSTROWSKA

Gdzie wina jest, duża...



W orneckim ogrodzie już pewno pachną narcyze, brzozy spuszczają zielone włosy nad brzożową ławeczką, w ciepłe wieczory dziadek na niej siadał ze swoją fajką, wonny dym niebieskim dymkiem rozpywał się w powietrzu, dziadek pykał fajkę i przyglądał się swoim drzewom, swoim kwiatom.

— Witold — mówiła babcia z werandy — kapoty nie wzięłeś, chłodno się robi.

— Witold! — wołała — wariacie! rosa spada, chodź do domu.

— Witold! — krzyczała — chodź, dam ci śmietany z cukrem.

A dziadek siedział na swojej ławeczce pod brzożami, pykał fajkę.

— Nie nudzi ci się, dziadku? — pytała Hela.

— Mnie? — dziwił się dziadek.

— Nudzi?

— A co robisz?

— Nic. Po prostu: siedzę i palę.

— Na co ty patrzysz, dziadku?

— Na świat.

— Przecież to tylko ogród.

— To jest właśnie świat.

— Taki mały jest świat, dziadku?

— Helenko, świat jest ogromny.

— Ale ogród jest mały.

— Bo źle patrzysz.

— Dlaczego? Przecież widzę dom, werandę, żywopłot głogowy, za nim drugi dom, no i jabłonki, wiśnie, grusze, śliwy, krzaki agrestu.

— A popatrz w górę? Co tam?

— No, przecież niebo.

— Właśnie. Niebo.

— Witold! Hela! Sumaszysz! Wariaty! Dziady zakajanne! Wracaj mi w tej chwili do domu!

— wrzeszczała babcia. — Bo z miotłą do was przyjdę! Bliny wystygają!

— Ach, te baby — wzdychał dziadek. — Człowiekowi nawet na świat popatrzeć nie dadzą.

— Dziadek siedzi na ławeczce pod brzożami i mówi, że patrzy na świat babciu — skarżyła się Hela.

— Bo to największy ze wszystkich wariatów, Helenko, jeszcze ta kiego drugiego nie było. Zawsze widzi to, czego inni nie widzą. No, siadajcie, nasmażyłam wam bliników — odpowiadała babcia, odwracała od płyty swoją zaczerwienioną twarz, przecierała spocone czoło, krzątała się po kuchni, podsuszała cukier, śmietanę do blinów, nakładała na talerze, taki mały ten świat babcu, kuchnia i płyta, zaglądała w oczy, czy smakują im te bliny, czy się udają, czy wyrosły, czy są pulchne, a jej ręce, grube i szorstkie, wcale niepodobne do delikatnych rąk z portretu wujka Kubusia, nieustannie coś poprawiała, coś kleiły, jej

ręce nie umiały przestać choć na moment pracować.

— Usiądź, matka, przekąś sobie — mówił dziadek.

— A czy ja mam czas siedzieć! — rzuciła się babcia — tyle jeszcze roboty, gdybym tak jak ty ciągle na świat patrzyła, nie miałabym co do gęby włożyć, ot co!

A teraz babciu, co robisz? Co twoje ręce robią? Twoje ruchliwe, pracowite ręce? Nie mają komu blinów smażyć, nie mają komu ognia pod płytą rozpałać, chleba miesić w wielkiej dzieży, chleba piec w ruskim piecu, tego chleba najwspanialszego, rósł twój chleb wysoko, błyszczał złotobrazową skórą, zarumienioną ogniem jak twoja twarz, pachniał dębowymi liśćmi, pachniał liśćmi wiśniowymi, bo na nich układałaś okrągłe bocheny, znakiem krzyża zaznaczone, ko mu ten chleb teraz, komu? Dziadek mówił. Nikt tak jak ty chleba nie potrafił upiec, dziękuję ci za to, matko, kłaniam się za twój chleb wspaniały i brał w swoje duże ręce bochen chleba ostrożnie jakby kwiatek dotykał, z namaszczeniem do ust podnosił, całował, któż teraz twój chleb całuje, babciu? Cierpieć muszą twoje dłonie, twoje palce, twoje dłonie samotne, twoje palce samotne. Upiecz, babciu bochen złotego chleba, upiecz go w swoim ruskim piecu na dębowych liściach, na wiśniowych liściach, aby pachniał lasem i ogrodem pachniał, upiecz najpiękniejszy bochen chleba w swoim życiu, potem ten bochen w białe płótno owiń, aby się nie zyschał, zanieś na ornecki cmentarz i podziel się z dziadkiem swoim chlebem, podziel się z nim, pod brzożowym krzyżem chleb połóż, niech mu pachnie lasem i ogrodem, w głowie mu połóż, na oczach mu połóż — niech odpoczywa w pokoju.

A na orneckim ratuszu gospodarują bociany. Do kraju tego, gdzie winą jest duża popsować gniazdo na gruszy bocianie, bo wszystkim służą, tęskno mi, Panie. Tęskno mi, Panie, modliła się Hela. Przyleciały bociany na ratusz i ludzie w Ornecku się cieszą. Kiedy przyleciały pierwszy raz, w ubiegłym roku, na wiosnę, nawet babcia złagodniała, przebaczyła choć trochę Ornecku, że nie jest Landwarowem. Bociany kłęczą na gotyckiej wieży, w Landwarowie mieszkają na Bocianie Górze. Dlatego tak się nazywał: Bociania. Zaraz za Oczkiem, bezdennym jeziorom, rozciągały wzgórze, jedno z nich było łysie, bez drzew, tylko kilka osmalonych pionem dębów rościło jeszcze na samym szczycie. Na tych dębach założyły swoje gniazda bociany i co roku przelatywały nad Landwarowem. A w Ornecku ciągnęły na ratusz. Bociany w sercu miasta. Ludzie kłaniali się im, zdejmowali czapki, przynosili muszki. Żeby tylko nie odleciały.

Bociany teraz koluja nad miastem, znoszą znad orneckich łąk pożywienie do gniazda. Lecą koło strzelistej wieży kościelnej. I nad domem babcu leca. Czy babcia je widzi? Czy przystaje, robi z dłoni daszek nad oczami, woła: Witold! Witold! Zobacz! Przyleciały!

Nie ma do kogo tak wołać. Została sama. Z grobem dziadka pod brzożowym krzyżem. Z ciotką Polą, która wymięła ją wzrokiem jak obcą, nie zatrzymała się, aby ją wesprzeć. Babcia nigdy w swoim życiu od nikogo nie przyjęła by pocieszenia. Ale kiedy schodziła kamiennymi schodkami w dół, wiatr rozwiewał czarny welon jak skrzydła kruków, i wtedy plecy jej skurczyły się, a głowa opadała pod ciężarem żałoby. I nie miała więcej już siły, aby ją podnieść dumnie do góry. Ciciu Polu, dła-

go wymięłaś babcie wzrokiem, skazując na samotność? A ja? Dlaczego do niej nie podbiegłam? Dziadek miał oczy przeświecone słońcem, dziadek nie ominąłby spojrzaniem nawet babci, która go za-

biła. A potem kłęcząca nad starą walizką i drżącymi rękami układała w nich moje sukienki. Jeszcze raz poprosiła: Teresa. Na litość boską, zostaw mi dziecko. Ale mama powiedziała: Co ty sobie wyobrazasz, przecież to moje dziecko i mam zamiar nareszcie zająć się odpowiadno jej wychowaniem. Jest zupełnie nie jak dzikuska. Ordynarna dzikuska. Więc babcia pochyliła niżej głowę nad walizką. Musiała ją ta prośba: Na litość boską, zostaw — dużo kosztować. Ona nigdy nikogo o nic nie prosiła. Nie umiała prosić ani przepraszać. Nie umiała przebaczać. Taka już była. Dobra i zła. Litościwa i okrutna. Rozumna i głupia. Szlachetna i nikczemna. Dumna i pyszna. Musiała ją ta prośba: Na litość boską, zostaw — kosztować wiele. To była chyba jej pierwsza prośba w życiu. To był początek odwrotu od jej własnej nienawiści, od wyniosłej pychy, od nikczemnej głupoty, od tego wstydu, czemu sprzeciwiał się dziadek. Ale musiała kłęcząc i pakować walizkę. Jej ręce jeszcze nie drżały, gdy spuszczano na sznurach do dołu trumnę dziadka. Jej plecy jeszcze były i wtedy proste, gdy pierwsza gruda zmarzniętej ziemi głucho uderzyła o trumnę. Ale ugłębiły się wtedy, kiedy zaczęła schodzić w dół po kamiennych schodkach. Wtedy musiała zrozumieć, że jej mieszkanko będzie oddziałem zawsze pustym. Musiała pojąć, że jej pracowite palce nie będą miały dla kogo pracować. Ze zeschną się bez pracy. Ze serce jej wystygnie od tego zimna, od tego chłodu, jaki ją otągał ogarnie. Ona to wtedy tam pojęła. I przerażała się owocem własnej nienawiści. Możliwe że o tym pomyślała o dzikiej gruszy; możliwe że o bocianach, może o landwarowskiej studni, albo brzożowej ławeczce w orneckim ogrodzie? Poprosiła: „Na litość boską”. Pochowała razem z dziadkiem swoje własne życie, i tam na schodach orneckie go domu skruszyła się jej nienawiść. Wyparła się dziadka, a on ją zwyciężył. To ona umarła, ona zaś będzie żyła zawsze. Z każdą wiosną będzie wracał, łąkę zieleni, ajerem szumiąc, fiołkiem rósł, na szerokich tarasach ogrodu.

I powiedziała, wyrzekła po raz pierwszy w życiu — słowa prośby, błagania, zażebrała o jałmużnę: Zo staw, na litość boską. Zadygotały jej ręce. Pochyliła się jej głowa. Nie potrzebują tych starych smat, powiedziała mama, Hela dostanie teraz wszystko nowe.

Przekwitły fiołki i stokrotki w orneckim ogrodzie, bociany szykują się do odlotu, brzozy płaczą nad brzożową ławeczką, dzieła od chleba stoi zakurzona, piec wystygły, kłęcząca nad otwartą walizką, w której zaczęła układać swoje rzeczy, może układała razem z nimi swoje życie, swoje nadzieje, ale powiedziano jej, że to tylko stare smaty, zwykle lachy, kłęcząca tak długo, mama mnie ubrała, ubrała się sama, a babcia nie rozwarła zaciśniętych na aksamitnej sukience rąk, aby mnie pobłogosławić na pożegnanie, a ja — ja się jej zlekłam, bo nie widziałam nigdy takiej ani nie znałam: z tak nisko opuszczoną głową, z tak silnie zaciśniętymi rękami, więc zlekłam się i nie podeszłam do niej, aby powiedzieć: Babciu, to są najpiękniejsze sukienki i nigdy o nich nie potrafię zapomnieć.

(fragment powieści, przygotowanej dla „Czytelnika”)

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Na Turbacz

Wojtkowi

Myślisz — sami schodzimy? W niebo setkę drabin Zielonych wparły góry, po chmur pawie oczy. Nie wiesz, że z nami wchodzą Orkan i Rakoczy I szepczą o spełnieniu ksiąg królowej Saby.

Nie wiesz, że nad Turbaczem orzeł zdrewniał w dali Niczym w panneau z cepeli rżniętym laubzegą. Mówią księgi: Jak szczyty, co wparły się w niebo, Ludzie w górę się wzbili i z ludźmi zrównali.

Myślisz — w czwórkę wchodzimy? Po Młackiej Polanie Kroczy Lacki, gwałtowny jak oddech powstaniec.

Myślisz — w piątkę wchodzimy? Na stare swe szańce Spieszą — srebrne oddechy — legli w partyzantce.

Dziwisz się, że tak łatwo kuli u nóg zbyłem? Ze szczytu praży słońce ostrym dzielię się.

Spotkanie z Don Kichotem

Wszędzie — na Szpięglasowej, na Krzyżnem. Zawracie I na czaszce Kościelca, i Łysej Polanie — W grynszpanowej, iż księżyc za tarczę, poświacie Wynurza się na mgielnym koniu niespodzianie.

— Czego tak wciąż szukacie, o szlachetny panie? Bo ja babki z Toboso, którym z myśli stracił. Mówię: — Znaczką szukając obchodzę te granie: Srebrna GOTu koziczka, — A czy się oplaci?

Pyta (również nie pojął, chociaż i on błędny). Więc tłumaczę, jak ludziom w rozprawę mającym, Ze wawrzyn to szacowny, gdyż zdobi pałęcia.

A wszak strącam i ninie w chmurne zawrotności Garbatego ołbrzyna — Rycerza Starości, Chociaż Merlin przestrzegął, iż ziemią mnie spęta.

„PARADY” na łódzkiej scenie

Od pierwszej prezentacji „Parad” minęło 160 lat. Odegrano je wówczas na dworskiej scenie łańcuckiego pałacu, będącego ówczesną rezydencją Elżbiety z Czartoryskich Lubomirskiej.

W tym to właśnie czasie, w sierpniu 1792 r., zjawiał się na dworze Lubomirskiej przyszy autor „Parad” — hrabia Jan Potocki, syn Józefa na Złotym Potoku. Potockiego krakowskiego koronnego i Telesy z Ossolińskich. Człowiek ten, uchodzący za jednego z najbardziej ekscentrycznych tyków epoki, był podróżnikiem, politykiem, badaczem i literatem. Znudzone ciągłym oglądaniem sztuk drugo- i trzeciorzędnych pisarzy, żądna nowości łańcucka „śmielanka towarzyska” zdołała namówić przybyłego do napisania jakiejś sztuki na jeden z niedzielnych festynów. Jan Potocki postanowił stworzyć rzecz własną, oryginalną a równocześnie wykorzystując przy tym doświadczenia zdobyte w czasie oglądania za granicą licznych przedstawień teatralnych. I tak powstało 6 krótkich jednoaktowych będących świetnymi parodiami modnych wtedy, aczkolwiek nie najlepszych sztuk i ówczesnej manieri teatralnej.

W Encyklopedii Diderota i d'Alemberta znaleźć można informację: „Do zwykłych postaci dzisiejszej parady należy Kasander — naiwny ojciec, opiekun lub podstarżały kochanek Izabelli, uroczą Izabellę — w rzeczywistości płoża i fałszywa wykwintnia, piękny Leander — jej kochanek łączący rubasznosc żołnierza z zarozumiałym filozofem”. Potocki czyni te postacie bohaterami swych przeżabawnych scenek. Obok Kasandra, Zerzabelli (imię utworzone z dwóch innych: Zerziny i Izabelli z komedii dell'arte) i Leandra, autor wprowadza jeszcze osobę Gila (postać ta „zrodziła się” nad Sekwaną) — służącego obdarzonego chłopskim sprytem, zdrowym rozsądkiem i prostodusznością, i Doktora — gadatliwego zrzędu, popisującego się swoją naukową pedanterią. Osoby te łączą ze sobą pięć luźnych, zamkniętych treściwo scenek (scenka szósta „Mieszczanin aktorem” nie jest właściwie paradą i nosi podtytuł „scenka włoska”). Łatwo odnaleźć pierwowzory tych postaci w typach charakterystycznych dla komedii dell'arte: siuga Arlekin, uczonego Dottore, żołnierz samochodwał, Colombina, czy

Pantalone — naiwny ojciec i śmieszny mąż. Do też z owej komedii czerpał autor „Parad” niemało. Podróżując po Włoszech widział jeszcze zapewne wiele jarmarcznych przedstawień, w których aktorzy na podstawie opracowanego scenariusza improwizowali swe dialogi, wyszukując ciągle nowe żarty słowne i sytuacyjne.

W „Paradach” ciekawe i zabawne pokazanie masok, do złudzenia przypominających tradycję włoskiego teatru ludowego, stanowi światną zabawę nawet dla odbiorców z drugiej połowy XX wieku.

O pierwszym przedstawieniu „Parad” wiemy stosunkowo niewiele. Nie wiadomo np. czy wystawiono je jako całość czy też były „odgrywane” osobno jako wstęp do innych niedzielnych widowisk. Wiadomo jedynie, że rolę Zerzabelli grała 34-letnia bratowa Potockiego, Anna Teofilowa, córka kanclerza litewskiego Aleksandra Sapiehy i jej to w głównej mierze przypisuje autor sukces owej sztuki.

Po raz pierwszy polskiego przekładu tych jednoaktówek pisanych przez Potockiego w języku francuskim, dokonał Józef Modrzejewski, a 29 listopada 1958 roku odbyła się premiera na scenie warszawskiego Teatru Dramatycznego. Podobnie jak w łódzkim przedstawieniu inscenizatorem i reżyserem była Ewa Bonacka a scenografem Władysław Daszewski.

Dawny obyczaj teatralny, sięgający w XVII wiek, polegał na tym, że przedstawienia poprzedzane były popisami aktorów odgrywanymi na zewnątrz jarmarcznej budy i demonstrowanymi za darmo, celem przyciągnięcia widzów na spektakl. Owe reklamowe skecze zwano paradami. Za czasów Potockiego przybrały nieco inną formę, stały się bardzo modnym gatunkiem i mile widziane były na dworskich scenach.

Dzięki realizatorom łódzkiego spektaklu wprowadzającym ożywienie i różnorodność w interpretacji poszczególnych scen zarówno w dialogach jak i sytuacjach oraz zastosowanie w każdej z parad innej tonacji postaci powoduje, że XVIII-wieczny tekst nabiera nowych barw, a prowadzona początkowo w zbyt powolnym tempie akcja wciąga widza coraz silniej.

Aktorzy: Alicja Krawczykówna i Henryk Józwiak — odtwórcy ról Zerzabelli i Gila zademonstrowali własną, przekonującą interpretację. Henryk Józwiak oprawił swego Gila w najmniej szczytów. Jednakże najlepiej wypadł w liryczno-sentymentalnych wyznaniach „Gila zakochanego”.

Alicja Krawczykówna, w jedynej roli kobiecej, urzekła grą pełną szczerości i prostoty, lecz ona także najcelniej trafia we właściwy ton w „Gilu zakochanym” stylizując się na sielankową pasterkę przypominającą do złudzenia porcelanową figurynkę. Także w „Kasander i teratam” stwarza postać uroczego, głuputkiego dzieła ciska, które jednak ma dość sprytu by postawić na swoim.

Najbardziej „przypasowany” do roli był Sławomir Miśkiewicz rozbrajając naiwny jako stary mąż i ojciec, i komicznie rozpolitykowany jako pseudo-demokrata. W jego interpretacji przemówienie Kasandra — demokracja jest nie tylko parodią po siedzeń z czasów Konstytuanta, ale także ośmieszeniem typowego dla wielu współczesnych mówców szablonu w sposobie wygłaszania przemówień.

Tej trójce towarzyszyli: Andrzej Herder (Leander i aktor) i Zbigniew Jabłoński (Ojciec aktora i doktor).

Obsady dopełniają Jerzy Balbuza (Mim 1) i (Mim 2).

Trzeba przyznać, że aktorzy przeistaczając się w krótkim czasie w szeregu odmiennych tyków mieli niełatwe zadanie. Np.: H. Józwiak jako Gil musiał być piętrem żwawym kochankiem, wreszcie nieco głupkowskim aczkolwiek nie pozbawionym sprytu służącym; czy A. Krawczykówna (Zerzabella) raz jest niewierną żoną, znów naiwną, uwiedzioną pannicą, bukoliczną figuryn-

ką, w końcu nieposłuszną córką.

Scenografia Władysława Daszewskiego przypominająca prymitywną dekorację dworskich teatrzyków XVIII w., trafnie podkreśla klimat i styl epoki. Muzyka Witolda Rudzińskiego harmonizuje i uwypukla dell'artowsko-groteskowy charakter spektaklu.

Łącznikiem scalającym poszczególne parady są zabawne scenki, bądź krótkowilne tańce utrzymane w koncepcji całego spektaklu.

„Wydaje mi się, że łódzkie przedstawienie „Parad” z niewielkimi tylko zmianami jest powtórzeniem ich wcześniejszej o 10 lat inscenizacji warszawskiej. Nie twierdzę — dobrze to czy źle, ale zastanawiam się, czy jest sens powielać, choćby nawet najlepszą koncepcję inscenizacyjną zamiast pokusić się o nową interpretację „Parad” które, jak pisze sama E. Bonacka nie przysparzają jej, „tego uczucia oniemiałości, jakie przez szkadzałoby mi z pewnością w żywym odtworzeniu już znanego utworu klasycznego. Nie musiałam wyrzucać ze swej świadomości namiętności widzianej już formy, zwalczać nacisku tradycji inscenizacji, przyzwyczajenia stylu, szukać łkariatwa na nudę, która osiadła na dziele klasycznym...” a więc zna czy to, że utwór ten kryje w sobie wiele jeszcze możliwości i rozwiązań inscenizacyjnych. Ale jest to zarzut jedyny i być może niesłuszny. Najważniejsze, że „Parady” ogląda się z prawdziwą przyjemnością i zainteresowaniem.

Teatr 7.15 Jan Potocki — „Parady”.
Reżyseria: Ewa Bonacka. Scenografia: Władysław Daszewski. Muzyka: Witold Rudziński. Układ pantomimy: Witold Borowski. Układ pojedynków: Braniśław Borowski. Asystent reż.: Jerzy Balbuza.

spektakle tygodnia

TEATR	Spektakle	Widzów	Procent
WIELKI	„Jeziro łabędzie”,	1	1276 100
	„Tosca”,	1	1276 100
	„Pan Twardowski”,	2	2552 100
	„Zemsta nietoperza”,	1	1276 100
	„Così fan tutte”,	1	1276 100
NOWY	„Dziś do ciebie przyjść nie mogę”,	5	3500 100
	„Rewizor”,	1	600 90
	„Czerwone pantofelki”,	2	1400 100
NOWY Mała Sala	„Księżyc świeci nieszczęśliwym”,	1	200 100
JARACZA	„Niemcy”,	9	5670 100
	7.15 „Moralność pani Dulskiej”,	4	1416 85
POWSZECHNY	„Baba dziwo”,	3	1500 81
	„Kawior i kaszanka”,	1	660 100
	„Turniej z czarodziejem”,	2	1200 90
TZL	„Fircyk w załotach”,	5	1304 100
	„Mieszczanie”,	2	521 100
OPERETKA	„Czerwony Kapturek”,	7	7084 98
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	900	65 słuchaczy
	2 koncerty nietytułowe	1200	90 słuchaczy



„KOBIETA Z WYDM”
Zanim dotarła do nas książka japońskiego pisarza Abe Kobo, mieliśmy już okazję oglądać jej wersję filmową pod tym samym tytułem. Film zdołał być nagrodzony na Festiwalu w Cannes w 1964 roku i to przy sprzyjła powieści jeszcze większego rozgłosu. „Kobietę z wydm” przetłumaczono na wiele języków i warto się zastanowić przez chwilę, co złożyło się na sukces japońskiej powieści. Fabuła jest bardzo prosta. Trzydziestoparoletni naukowiec wyjeżdża nad morze w poszukiwaniu rzadkich okazów owadów. Tam trafia do odciętej od świata, dziwnie wioski z piasku. Mężczyzna zostaje więźniem mieszkańców wioski i odtąd jest skazany na wspólne życie z samotną kobietą i codzienną walkę z zaspajającym chałupniactwem. Przez cały czas próbuje stamtąd uciec, obmyśla sposoby wydobycia się z piaskowej jamy, a kiedy wreszcie przychodzi dzień, że nikt mu w ucieczce nie przeszkadza, mężczyzna nie ucieka. Zostaje, bo nagle okazuje się, że tu w chacie, którą tak długo nienawidził znajduje swoje miejsce, że kobieta jest mu teraz najbliższym człowiekiem.

Ta prosta, acz osadzona w niecodziennych warunkach fabuła dała autorowi okazję do drobnej analizy ludzkiej psychiki, do odwołania mechanizmu myśli i poczynań człowieka. Piasek, zastępujący normalne środowisko, w którym żyją ludzie, wiele spraw upraszcza, czyni nieważnymi, ale też wzbogaca, wyolbrzymia i zmienia. „Kobieta z wydm” to książka, której nie można spokojnie odłożyć po przeczytaniu. To książka, która zmusza do wielo refleksji. Najwięcej będzie dotyczyło postawionej przez autora tezy, że człowiek może żyć w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach, że zawsze znajduje swoje miejsce i zawsze jest potrzebny innym. Taka jest bardzo optymistyczna wymowa powieści Abe Kobo. Warto dodać, że jest to kolejna z trylogii z serii „Powieści współczesne”.

B.M.

„Kobieta z wydm”, PIW 1968, str. 172, cena zł 15.

J. W.

SZEŚĆ ŚWIATÓW STAROZYNYCH

Jeśli się komuś znudziło tempo współczesnego życia,

Stanisław Łoś „Świat historyków starożytnych” Wyd. „Zuch” 1968, cena 45 zł

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

OPOWIADANIA WSPÓŁCZESNE

Ileokroć wypadnie mi oma wiać zbiory opowiadań, zawsze bywam w poważnym kłopotcie. Różnorodność treści, tonacji wewnętrznej i konwencji pisarskiej — różnorodność właściwa zwykłej poszczególnym pozycjom takich zbiorów nie ułatwia pracy recenzentowi. Na dobrą sprawę — chcąc być dokładnym — należało-

by omawiać kolejno wszystkie zawarte w tomie (a bywa ich kilkanaście albo i więcej), na to jednak nie ma dość miejsca nawet w czasie pismach literackich. Jan Koprowski ułatwia nieco recenzentowi tę kłopotliwą sytuację. Owszem, i w jego opowiadaniach znajdziemy różnorodność substancji treściwej, nastroju, konwencji sty-

listycznej. Ale w odróżnieniu od „małych form” wielu innych autorów, we wszystkich prawie opowiadaniach Koprowskiego silnie pobrzmiewa głos ich dominanty — ton głębokiego i szczerego humanizmu, którego wykładnikami są: życzliwość, zrozumienie i współczucie dla drugiego człowieka. I to nie tylko dla ludzi z kręgu „swoich i bliskich”, lecz również dla tych, których spotkał Koprowski przy padkowo i przelotnie. Może to być stary antykwariusz z Jeleniej Góry („Pan Mieczysław”), kobieta wiejska porzucona przed laty przez męża („List do Ameryki”), zabiedzone i chorowite dziecko niemieckie z jakiegoś westfalskiego miasteczka („Dzieci”) czy ktokolwiek inny, jeśli znalazł się zrzędnie losu na życiowych dro-

gach Koprowskiego. Zda się on nie wiedzieć o istnieniu gorzkiego powiedzenia starodawnych sceptyków: „Homo homini lupus” („Człowiek człowiekowi wilkiem”). A gdyby ktoś usiłował zaszczyć Koprowskiemu niewiarę w słuszność zajmowanej przezeń „teraz i zawsze” postawy wobec bliźnich, wśród których nie wszyscy przecież jaśnieją blaskiem cnót humanistycznych, Koprowski być może odpowiedziałby na to słowami Przemysłowego z „Przeziębłości”: „Takie są moje obyczaje...” Zawsze byłem i jestem zdania, że opowiadanie należy do najtrudniejszych gatunków literackich, a osiągnię-

cia pewnego szczebla poprawności artystycznej jest łatwiejsze w dziedzinie powieściopisarstwa niż nowelistyki. Albowiem te czy inne autorskie błędy, potknięcia, nie zrzędnoci łatwo rozplyną się i utoną w obszernym nurcie powieściowym, często nawet niezauważone. Ale wszelkie błędy i niezręczności na kilku czy kilkunastu stronkach opowiadania ukrępić się nie dadzą i od razu biją w oczy, jak plama na bieli obrusa, jak rozpruty szew lub brak guzika w odświętnym ubraniu. Rzecz w tym, że dobre opowiadanie wymaga szczególnej kondensacji elementów treściowych i środków wyrazu pisarskie-

go — szczególnie starannego zharmonizowania wszystkich składników utworu. Wydaje mi się, że autor „Teraz i zawsze” posiada tę umiejętność w stopniu nie lada jakim i unikając wielosłownia prosto i świadomie zdąży do zamierzonego celu, szybko, trafia do sedna poruszanej sprawy i stawia ostatnią kropkę w miejscu właściwym. A przy tym jest w swej narracji bezpośredni i komunikatywny. Wszystko to razem wzięte znaczy bardzo wiele. I dla autora, i dla tych, którzy je go książki czytają.

Jan Koprowski „Teraz i zawsze”. Wydawnictwo Łódzkie, str. 125 i 3 nrb., cena 10 zł

EUROPA odSTRONY ZACHODNIEGO. WYBRZEŻA

Kanał Kiloński już blisko. Powoli zarysowują się brzegi lądu. Robi się ciemno. Wychodzę na pokład, który nazywają tu pasażerskim.

W oddali mrugnięcia latarni morskiej. Przybliżamy się dość szybko do mnożących się świateł, chociaż ruch statku wydaje się ślamazarny. Kierujemy się nieco w lewo. Oświetlone budynki zachodniemieckich firm okrętowych i zabudowa kanału dobrze już widoczne z lewej burty; po prawej jeszcze morze.

Jest godz. 19. Teraz widzimy wlot kanału. Pomarańczowe podświetlone drewniane półkole, nad nimi migoczące srebrem, drobne, białe plamki.

Zbliżamy się. W pewnej chwili biel odrywa się od światła, później druga, trzecia, czwarta — i ulatują! To mewy.

Pilot już dawno na statku. Ma ręczną stację nadawczo-odbiorczą, przy pomocy której steruje holownikami. Mijamy trawiste nabrzeże, nieco dalej, na wzniesieniu, zabudowania: administracja, urzędy, magazyny, kantyny itp. Potężne firmy zachodniemieckie, a w szczególności hamburskie, wykorzystują każdą okazję i miejsce na reklamę.

Skoro świt wyje syrena okrętowa. Dźwięnienie śruby zdołało już przedtem pobudzić „szcuchy” nieprzywykłe do tego rodzaju odgłosów i drgań.

Sympatyczny inżynier, z którym wypadło mi mieszkać w jednej kabine, porusza się nade mną. Widzę jego nogi zwisające z koi. Szykuje się do zejścia. Wyglądamy przez „bulaje”. Słuzi po kolei otwierają się przed naszym statkiem. Najpierw jedna, później druga. Kanałem Kilońskim wypływamy z Baityku na Morze Północne.

Kładziemy się, by ukonczyć przerwany sen. Inżynier na szczęście nie chrapie. Gorzej ma dramaturg z Krakowa. Jego współlokator, a jest nim „dyplomata” nazwany przez nas pięknym Hiszpanem, chrapie nie tylko w nocy, lecz również przez połowę dnia.

Nie dramatyzujemy jednak. „Hiszpan” pożegna nas w jednym z portów afrykańskich. A szkoda. Polubiłem go szczerze, chociaż kolega nie podziela mego zdania.

Na Morzu Północnym lubi trochę pokorysać. Według opinii wilków morskich najlepiej zapobiega sensacjom sztormowym koniak. Neptunowi, aby go ułagodzić, rzucił się przez okno kajuty puste butelki. Nie sądzę, żeby bogom morza był taki naiwny i dał się nabierać na prymitywne kawały.

W nocy Hamburg. Chcemy być przystomni wypłynięciu do portu. Pilota już mamy na statku. Teraz dwa holowniki, jeden z przodu, drugi z tyłu — ciągną nas. Jeszcze dużo czasu. Kładę się na kanapie w kajuście. Przymykam oczy. Równomierne, po-

wolne tętno statku usypia. Budzę się nocą w jakimś czarodziejskim miasteczku statków. Pełno bomów, dźwigów nabrzeżnych, świateł różnokolorowych i czerń wody odbijająca wszystko. Miasta nie widać.

Od czasu do czasu słychać wycie syreny okrętowej. To jakiś statek wypływa albo



wypływa. Znów zasypiam. Już dziewiąta, a jeszcze nie było policyjnego okrętowego i celniczego. Czekamy na odprawę i paszporty. Marynarze ubrani w najlepsze cywilne garnitury kręcą się po korytarzu. Nie wszyscy wyjdą. Niektórzy będą potrzebni przy nadzorowaniu przeładunku.

Nasz statek stacjonuje na Rosshoff. Takich nazw jest kilka, to sektory portu. Dojazd z portu do miasta, szybkim samochodem, trwa około trzydziestu minut. Jeździ się jednak tramwajem wodnym. Przejazd, bez czekania, trwa zaledwie kilka minut. A po długim objeździe samochodem przez portowo-fabryczne dzielnice jest się akurat w tej samej dzielnicy miasta, do której dopływa „Fera”. Dworzec tramwajów wodnych leży tuż poniżej statku pasażerskiego,

przerobionego na hofel i lokale rozrywkowe.

Wieczorem ten duży statko-hotel wygląda, na tle portu, jak bogato iluminowane wesołe miasteczko. Lokal świeci pustkami. Hamburg nie opatuje urokami architektonicznymi ani zabytkami. Za to mnóstwo tu reklam, neonów i domów handlowych. Im dalej od portu tym bardziej opustoszałe ulice. Śródmieście od godz. 20 do 22 nieożywia. Ruch pieszych jednak nie większy tu niż w Piotrkowie pod wieczór. Wypatruję oczy. Gdzie są ci szczęśliwi, młodzi ludzie? Gdzie ich radość i śmiech? Dlaczego nie idą dokądś, lub „do nikąd”? Miasto jakby w letargu. Miasto smutne i nic z tego, że ogromne reklamy kinowe pokazują półnagą dziewczynę w objęciach mężczyzny ze zwierzęcą twarzą; miasto śpi, chociaż inna półnaga dziewczyna celuje w nie (miasto) lufą automatu. Tylko dzielnice portowe żyją. Żyją obcym oddechem. Marynarze i niewyredni turyści szukają tu mocnych, szybkich i wcale nie tanich rozrywek.

dla publicznego szaletu — przybytek ten jest w zasadzie wityrny kobiet przeznaczonych na „handel”.

W parterowych oknach demonstrują swoje wdzięki młodzieńkie dziewczyny i takie, które mogłyby być ich babkami. Wdzięczą się do przechodzących mężczyzn różnych narodowości i zachęcają do wejścia. Niektóre z nich próbują konwersacji w języku angielskim lub francuskim.

Po drugiej stronie ulicy podobna promiada. Jest coś głęboko upokarzającego i napawającego smutkiem w tym widowisku.

— Oto człowiek, oto kobieta — myślę i przypominają mi się argumenty tych, którzy twierdzą, że prostytucja jest wentyem bezpieczeństwa dla higieny psychicznej i trwałości małżeństwa. Brutalnej wulgarności jawnego przetargu kobiecym ciałem nie usprawiedliwia nawet niebezpieczeństwo wypaczeń seksualnych i psychoz u marynarzy, przez szereg miesięcy pływających po dalekich morzach. Niektórzy z przechodzących wchodzą. Nie dziwię się im zbytnio. Mają, co chcą. Kupują, a nie są przedmiotem kupna. Ale te młode dziewczyny! Co je zmusza do tego, że siedzą w wityrnie okna, że stają się obiektem niewybrednych dowcipów? Jeszcze jeden taki „osrodek” został niedawno otwarty bliżej centrum Hamburga — jak twierdzą marynarze — większy i piękniejszy dziewczęta. W obu lokalach pracuje się na próżno.

Wspaniałe futra, biżuteria, auta. W sklepach nie ma tłoku. Kto te rzeczy kupuje? — Myślę. — Niełiczni przechodnie mijają nas. Chodzą skromnie ubrani. Ani jednej pięknej dziewczyny nie spotkaliśmy w ten wieczór; gdzie są, co robią w tak piękny wieczór?

Teatry drogje. Wstęp do opery kosztuje kilkadziesiąt marek. Lokale w śródmieściu pustawe.

Późno się robi, trzeba wracać na statek. Pytam o drogę człowieka, który wygląda na naszego robotnika po „lajrancie”. Jest rozmowny. Ma 48 lat, wygląda grubo starzej. Ma żonę i pięcioro dzieci. Pytam czy jest Niemcem, jest to raczej retoryczne pytanie: wszystko wskazuje, że tak. Odpowiada, że jest Hamburgczykiem. Mówi, że nie lubi Niemców. Ciekawe. Mnie traktuje zyczliwie. Podprowadza do tramwaju. Co robi? Jest konduktorem kolejowym.

Podjeżdża tramwaj. Moj rozmowca wie, że jestem Polakiem. Życzy mi powodzenia.

W kabine z okienkiem, na obrotowym stołku, siedzi motornicz i sprzedaje bilety, przy pomocy automatu do wydawania pieniędzy. Pasażerowie, przez naciśnięcie guzika, otwierają drzwi z zewnątrz i z wewnątrz; motornicz w ten sam sposób zamyka.

„Fera” wracamy na statek. Brak jego oddechu, tętna przeszkadza w usnięciu. Jedziemy dalej!

Wolno ujściem Elby wpływamy na Morze Północne. Przed nami Brema, Amsterdam, Rotterdam i Antwerpia. Potężne porty. Brzegi Holandii zarysowują się w oddali. Jasne pasmo przybliży się. Tam, na wybrzeżu słońce.

Piaszczysta skarpa, symetrycznie pocięta umocnieniami. Później, z płaskiej przesterżni, jak z holenderskich sztychów — wiatrak.

Daleko, daleko blade światła. Dużo światła. Wpływamy Skaldą do Antwerpii. Półkolem, przed nami różnokolorowe mrugania. Światła rosną. Nad portem, bo to chyba port, płoną trzy znicze. Na granatowym niebie pomarańczowe latarnie. Długie, barwne, krzyżujące się i równoległe odbłaski na ciemnozielonej wodzie. Z le-

JERZY KOCHAŃSKI

Życie uczuciowe Leopolda Tyrmanda

Leopold Tyrmand otrzymał nagrodę londyńskich „Wiedomości” za najlepszą książkę współczesną w języku polskim w 1960 roku — „Życie towarzyskie i uczuciowe”, która — jak się łatwo domyślić — służy mu do ukazania Polski w odpowiednim świetle i odpowiednim językiem.

Straszne i ponure miał życie — Leopold Tyrmand — w komunizmie... — „superkolosie mistyfikacji”, w „piekielnym transformatorze zaciemnień”, w „konfiguracji superonizacji religijnej”, na „bezkresnych łąkach nadużytej naiwności” etcetera bomba! Straszne miał życie.

Gdzie praworządność, sprawiedliwość, kiedy... „kupilem wreszcie samochód, a zarazem margarynę, brzuch mi gdał, ale powiedziałem cholera jasna — nie dam się wam władcy karykaturalnych zwyrodzeń, będę zapychał się margaryną, rano, w południe, wieczorem, ale nie będę jeździć waszymi zas... nymi autobusami w kolorze waszych sztandarów, a na gapę po prostu honor mi nie pozwala”.

Przy tym honorze Tyrmand pozostał do dziś. Ergo — żałuję, że z motoryzacją jestem w takich samych stosunkach jak z Tyrmandem. Toteż nie bardzo pamiętam, czy Tyrmand kupił z automatyczną przekładnią czy bez. Feler. Miałbym argument... Wiem natomiast z autopsji, bardziej jeszcze z legendy, że Tyrmand nie wylegiwał się do góry brzuchem na „bezkresnych łąkach nadużytej naiwności”.

Tyrmand miał bowiem b. konkretne zajęcia.

Tyrmand prowadził b. konkretną rozgrywkę z ulicą.

Po Krakowskim Przedmieściu po Krupówkach, po sopockiej promenadzie Tyrmand nie szedł, nie chodził — Tyrmand chadzał, Tyrmand stapał. Tyrmand obnosił się ze swoim Tyrmandem, jak tylko można obnosić się ze szczęściem

albo z pogardą. Od Tyrmanda bił wawrzyn Mistrza, była nieskazitelnosć, biel mankietów, kute srebro spinek, krawacik figlarnie wybruszonej w półpalczek, bucik na piętrowej słoninie z bazaru Różyckie go, marynareczka tweedowa, kamizelczka w cytrynowy rzucik i piesek u nogi na smyczy — obstalowanej listem wartościowym w Wawrytki w Zakopanem. Tyrmand był sztyk, męski „Przekrój” początków lat pięćdziesiątych. Wyglądający, nadmuchiwany, wypieszcżony, odsztyfowany — dla nas lord Gallux. Wziąć takiego, postawić takiego w cecedzie na podestacie — Model. To był rok 53 albo 54 i wtedy chodziło się w dwurzędówkach tenis w niebieski prążek, spo dzień trzydzięści centymetrów, a koszula raczej z demobilu służyła głównie do tego, że bez koszuli po prostu do ludzi nie wypada, wstyd.

Ludzie przekraczali plany — wytop, spust, surówka, urobek, krzywa, Markiewka i Bugdoł po tysiąc procent normy na przodku. Takie były to czasy jeszcze w kilka lat po wojnie.

Tyrmand ma się rozumieć już wtedy walczył o lepsze jutro.

Wybuchła bomba — Tyrmand napisał „Złego”. W kręgach od razu klaka. Bywał w Zakopcu, w Sopocie, niestrudzenie jadał jam i wysłuchiwał jazzu — w kręgach pytali tylko o jedno, kiedy on to

napisał. „Zły” liczył pół tysiąca stron. Nic nie mówił, a jak trzasnęła — kłękajcie narody z Noblem na czele.

„Zły” otrzymał ileś tam recenzji. „Zły” jest bardzo dobry — pisała w tytule „Nowa Kultura”.

Aspiracjom stało się zadość.

Autografy poszły w cenę, podfruwajki się zdewaluowały, literatura została zapędzeni w kozł róg.

„Socrealizm nie jest dobry dla literatów, socrealizm jest dobry dla mas” — powiedział Leopold Tyrmand już jako autor „Złego” i dodał — „gdy chodzi o mnie, to lubię lud ale w oranżadzie”. Po czym zakończył swoje spotkanie z młodzieżą w „Czerwonej Oberży” przy Kruczej, gdzie jeszcze nie tak dawno garażowały ministerialne Warszawy. Wszyscy mu mówili: Mistrzu. Wtedy Mistrz poznał Słepego, przez Słepego — Atomka, Kurzajkę, Komiarza, Długiego i Złoty Saks Warszawy. Temperamentni to byli młodzi ludzie. Atomek miał atom w pięści i dlatego był odpłatnym gorylem u Słepego, a znowu ten Słepý ustawił co sobota i niedziela chałtury na Foksal, na Widok, w Metalexporcie, na Wspólnej u Kolejarzy Brał po dwie dychy od Iba. Komiarz trzymał bufet, to znaczy brał sikacz w komis i sprzedawał z narzutem balowym. Potem się dziełli, każdy swoją drogą, i Mistrz tak jakoś bardzo polubił Słepego, że

odtąd razem mieszkali w zakopiańskim Orbisie, w jednym pokoju po osiemdziesiąt złotych, doba, co na ówczesne czasy było sumą prawie że horendałną.

Potworne miał życie Mistrz LT.

W październiku 56 Mistrz daje jednym szusem nura w życie publiczne, reaktywuje się sam, to znaczy — szasta, smaga, chce wypłynąć frontalnie, szerokim nurtem z głębokim oddechem. Ale tak się dla Mistrza fikusnie złożyło że czystego kółnierzyka nikt nie chciał jakoś identyfikować z czystymi rękami — chociaż czyste to one były, gdyż kudy zabrudzonej ręce do złotego sygnetu.

Pozostała jedyna możliwość samookreślenia: kawiarnia.

Tak oto Leopold Tyrmand wymierzył Leopoldowi Tyrmandowi najbardziej sprawiedliwy wyrok: 10 lat kawiarni z okładem.

Teraz pisze tam — u nich — ten sam Leopold Tyrmand „Zrazu powiedziałem co miałem do powiedzenia zaś fachowcy w wolnym świecie, pokiwali głowami, że może tak, a może nie, i przestali się interesować Wydawało mi się, że znajduję przeciwników i zwolenników. Znalazłem tylko kilku pierwszych. Drudzy w ogóle się nie ujawnili”.

wej burty, na skraju półkola, w delikatnym fiolecie srebrne utkania. Prosto za „zniczami” rysuje się kontur lasu.

Obraz pozostawił niezatarte wrażenie Holowce ciągną nas do jednego z doków który, jak później się dowiemy nazywa się Havendok.

Port w Antwerpii jest jednym z największych na świecie. Jego roczny przeładunek wynosi około trzydziestu milionów ton. Mniej więcej taką moc przeładunku mają wszystkie polskie porty. (Hamburg ma nieco mniej). Rotterdam zaś sto dwadzieścia milionów ton. To potęga.

Ale wpływamy na nasze stanowisko przeładunkowe nr 136. Takich stanowisk jest więcej niż 140. W odróżnieniu od portu w Hamburgu antwerski nie jest Wenecją portów. Nie jest tak słabo sprzężony z miastem komunikacją lądową jak hamburski.

Port jest podzielony na kawały, a te na stanowiska przeładunkowe. Wygląda to z daleka jak kompleks równoległych ulic, otoczonych dwoma ramionami zakręcającej pod kątem prostym Skaldy.

W niewielkiej odległości od naszego Havendok przebiega autostrada (dwukierunkowa, czterotorowa) do Rotterdamu. Tu mamy cztery autobusy do centrum. Wysiadamy przy Franklin Roosevelt Plaats. Pięć minut aleją (De Keyser Lei) i jesteśmy przy „Central Station”.

Jest sobota. Dzień wolny od pracy, sklepy jednak pootwierane. Dużo kawiarni i kafejek — pustawo w nich, ulice jakby ospale. Kolega z Krakowa namawia mnie na kawę. Zaglądamy do hallu, gdzie wiszą fotosy. Nie możemy odnaleźć fotosu bez sceny łóżkowej, półstriptisowej, lub makabrycznej. W następnym kinie to samo. Rezygnujemy z dalszych poszukiwań. Idziemy na kawę.

Kawiarnie w Antwerpii nie są zbyt przepełnione. Wieczorem przesiadują w nich raczej starsi — dużo samotnych, leciwych pań, wyfiokowanych; często-gęsto asystują im młodziankiowe na złotych wyglądający.

Porządnie i bez awantur. Nieco dalej, na skwerku, parę przygodnych osób siada przy stoliku, piją coca-cola w kawiarence pod gołym niebem. Idziemy dalej. Fotografie skąpo ubranych, młodych kobiet — jest i Murzynka — przy fotografiach imiona. Dziewczyny w „artystycznych pozach” — widać to trochę i kabaret. Można by wejść, zobaczyć? Nic z tego. Wstęp za abonamentem płatnym z góry. Wchodzą starsi, elegancy panowie. Teraz już wiadomo dlaczego starsze panie muszą pić kawę z młokosami! Takie jest zapewne prawo życia, na tej szerokości geograficznej. Młode pokolenie dorabia się, by później móc żyć jak starsze.

Poziom wrażeń z dwudniowych przeżyć w Galerii Sztuki, w Domu Rubensa, w jednej z najpiękniejszych w Belgii katedrze (Our Lady's) — nieco opada. Nawet słodki i harmonijny w swym zespoleniu gotyku z barokiem kościół St. Pauli przez foneyczną bliskość z ulicą St. Pauli traci swoje uroki.

Jedziemy dalej. Przepływamy Biskaje, mijamy Gibraltar. Przed Oranem sztorm. Całą noc dryfujemy pod falą i wiatr, a później z powrotem w wiatrem bez użycia paliwa. Taki sobie „spacerek” przy prawie tajfunowej pogodzie. Jeden niebezpieczny manewr przy zwrocie i będziemy leżeć.

Rano pogoda, cisza i słońce — jakby nigdy nic. Tylko mój współlokator w kajucie pozostał chory. To nie był sen.



R. CZUBACZYŃSKI

Na początku grudnia odbyły się tradycyjne już w naszym mieście, Łódzkie Spotkania Teatralne. Wybrano najciekawszą propozycję teatru studenckiego w minionym roku 1968. Dyskutowano w antraktach, bardziej wytrwali mieli możliwość przekazania swoich uwag na dwóch seminarjach. Werydykt jury uwiaryczył dzieło. Dalej też wszystko szło swoim porządkiem. Studencka zabawa w Klubie pod Siódmkami... obrazki różne... w tańcu, w dyskusji, nagrodzeni przyścisłani do bufetu przez nie-nagrodzonych... ułamki zdań... nie, nie masz racji, masz rację, to było nieadekwatne, nie zgadzam się...

I ja tam byłem i muszę się przyznać, że też płem. Ale nie o to chodzi. Pomyślałem sobie, że taka impreza jak EST musi i powinna wywierać wpływ na dalsze poszukiwania artystyczne w zespołach. Konfrontacja osiągnięć dokonywana właśnie na Łódzkich Spotkaniach Teatralnych musi prowadzić do wniosków. Co się preferuje? Formę? Treść? Najciekawszy spektakl — odpowiem mi polemista. Może członek jury, jako że on doskonale zna zasadę tego konkursu. A ja sobie pomyślałem, że nie dam się tak łatwo zbyć. Pomyślałem sobie — poczekam — może ktoś bardziej od mnie upoważniony zabierze głos. No, ale tu już rok 1969, a wy, koleżki kochani, milczycie. Wy, którzy mogliście popatrzeć na to z perspektywy. Wy, którzy w latach 1955, 1956 tworzyliście Bim-Bom i STS, powinniście na ostatnich grudniowych Łódzkich Spotkaniach Teatralnych zauważyć coś ciekawego, jeśli w ogóle to Was jeszcze interesuje.

Warszawski STS, ten z dawnej awangardy zespołów studenckich, jako jedyny od lat trzynastu uprawiający tzw. „składankę”, w roku 1968 stanął w szranki (od

dawna nie brał udziału w festiwalach) z zespołami proponującymi zupełnie inny typ spektakli i prezentując program Stanisława Tyma pt. „Kochany panie Ionesco” przegrał ten pojedynek. Przegrał jako zespół (za tekst St. Tym otrzymał nagrodę). Przegrał,

POLEMICZNE REFLEKSJE

Jaki jest nasz TEATR STUDENCKI?

mimo że zyskał największy aplauz publiczności. (Już to ostatnie stwierdzenie zakrawa na próbę polemiki z werdyktem jury. Nie. Niech to będzie na razie stwierdzenie faktu). „Najciekawszy spektakl roku, to próba nowych poszukiwań...” powie mój przeciwnik w dyskusji (może członek jury, albo działacz Komisji Kultury ZSP).

„... Nie możemy kierować się gustami publiczności, — zresztą to sprawa niewymierna” — doda zupełnie słusznie. Ale ja nie daję się tak łatwo zbyć. Pytam:

„Co Pan rozumie przez poszukiwanie? Czy próby przepuszczenia starego Villona z jego „Testamentem” (lub Słowackiego z „Księdzem Markiem”) przez różne uduchowienia?”

To wymysł wcale nienowy. Kiedyś teatr studencki przemawiał autentycznie, pogardzany jako próba dublowania teatru zawodowego. Czy więc jest to rzeczywiste poszukiwanie. Czy tylko usilne

doszukiwanie się w klasycznych utworach własnego „ja”, bo już samemu nie umie się tego „ja” wypowiedzieć?

Nie polemizujemy. Zważmy, jakie nastąpiło przewartościowanie w zespołach studenckich. Czy to postęp, czy regres? Nie w sensie magii sceny. Pomysłów, bogatszej scenografii. Ale w tym, co najcenniejsze — w prawdziwym uczestniczeniu w rzeczywistości. Oceńmy to spokojnie i rzeczowo.

Dla mnie konwencjonalny spektakl STS pod tym właśnie względem był prawdziwy i dlatego najciekawszy. W każdej sekwencji tego przedstawienia było coś sprawdzającego, jakie żywe odniesienie do naszego dnia codziennego. To treść. A forma? Zrobiono wszystko, co trzeba, by to, co STS ma na dzisiaj do powiedzenia, dotarło jak najlepiej do publiczności. To wystarczy.

Jednak nie wystarczy.

Znowu więc powraca pytanie. W jakim kierunku powinny iść teatryki studenckie, żeby odnieść sukces na Łódzkich Spotkaniach Teatralnych? Jakiej wartości są oceniane najwyżej? Przecież w końcu można stwierdzić, że werydykt wydawane tutaj, kształtują dużej mierze politykę repertuarową w poszczególnych środowiskach. To duża odpowiedzialność,

Profesjonalizują się dotychczasowi autorzy. Nowych nie ma. A więc to stanowi pożywkę dla dobrej zabawy w teatrze? Adaptacja, bądź wyszukiwanie takich pozycji, które stwarzałyby możliwość przekazania siebie przez to, co już ktoś napisał. Wprawdzie zanotował tu duże osiągnięcia wrocławski „Kalambur”, czy krakowski Teatr 38 — zaryzykuję jednak twierdzenie, że ten repertuar był koniecznością w określonej sytuacji, nie zaś najlepszym wyjściem. Znakomite spektakle „Szewców” i „Witkacego w Kalamburze” czy „Moralność pani Dulskiej” Zapolskiej w Teatrze 38, były wyjątkami, które zdają się teraz potwierdzać reguły.

Teraz właśnie szczególnie, kiedy poszukiwanie lubelskiego „Gongu 2” czy warszawskiej „Sigmę” (spektakle nagrodzone — „Wielki Testament” Villona, „Ksiądz Marek” J. Słowackiego) próbując kłócić indywidualnym warsztatem, są w rzeczywistości propozycjami czczego formalizmu. Tak właśnie myślę. A dlaczego? Bo twórcy spektaklu ani trochę nie zdołali mnie zainteresować swoimi wymysłami, a Słowacki i Villon zostali sobą i nie pomogli zabiegami „a la Grotowski”, czy też próby łamania konwencji, żeby zbulwersować widza. Mnie takie pomysły nie interesują. Nie interesują też innych widzów, czego dowodem mogła być dyskusja na seminarium.

I oto, w tej określonej sytuacji, należało dać odpowiedź na pytanie — dokąd mamy iść?

Należało dostrzec coś niepokojącego w tych blakających się na manowcach spektaklach. Trzeba było wybrać autentyzm, nawet jeśli on mówił o braku paszków do magnetofonu (sprawę paszków włączono nawet do oficjalnego protokołu — niestety, w dezaprobującym dowcipu), autentyzm, który się zresztą objawił w wydaniu STS-u dziesięć lat temu spostrzeżeń, na pewno bardziej aktualnych, niż te włączające do protokołu paski.

Takie są moje refleksje. Słyszałem, że przy Komisji Kultury RO ZSP powstało ciało doradcze, które ma być w ścisłym kontakcie z łódzkimi teatrykami studenckimi, aby „profilować” ich działalność. Przedwcześnie jeszcze o tym mówić, czy rzeczywistość jest to pomysł dobry, ale mnie już się tutaj coś nie podoba. Czy sztucznie skomplikowana grupa, choćby najnamądrzejszych ludzi, może im pomóc, wytężyć dokąd mają iść w poszukiwaniach artystycznych. Nie wiem.

Wierzę natomiast, że prawdziwie aktywni młodzi ludzie w takich sprawach muszą sami sobie dać radę. W przeciwnym razie niech czym prędzej zwijają żagle. Co jak co, ale wybierać muszą, tylko oni. Czy jednak są tacy? Nie wiem, bardzo bym chciał żeby byli. Czas pokaże.

Biedaczysko ten Tyrmand, tu źle, tam może tak, a może nie. Rozstaje, rozterka, duszność. Przemycił tyle zdrowego entuzjazmu, fatygował się i nadział się na fachowców. Tu się nie szmacił, nie podlizywał się komunistom, a w wolnym świecie po prostu fachowcy. Pojechał, paszport — świadectwo polskiego obywatelstwa, nie czekając na zdanie fachowców, odprzedał za piekielnie ostro wystugane wyznaczenie nienawisci, napłut, nabluźnił — tamci wzięli i pokiwali głowami ale z braku zwolenników, Tyrmandowi także, jak każdemu jemu podobnemu, pojawiła się koszmarna zjawia brudnych talerzy w bistro, które czekają na swego dobrego czyszciciela. Szybko jednak, jak przystało na mocnego człowieka o wyższych aspiracjach, Tyrmand uczynił najzupełniej słuszne spostrzeżenie, że „z Polski przyjeżdżają różni ludzie, a między innymi także intelektualne kanale”, że „im kanalia doskonałej skonstruowana, tym bardziej sentymentalna, skłon na do zadum, nocnych rodaków rozmów”. I w ten sposób rezygnując z doskonałej struktury postanowił „pogrzebać się w psycho-moralnych kieszeniach” — jak to raz wypisuje — „tych, co w Kraju”. Siedzi więc już mocno swoim biedermaierem na ostatniej stronie u Gedroyca jako „Korespondent „Kultury” w Stanach Zjednoczonych” pod adresem — nie spadnięcie z krzesła — State University of New York at Albany, Socjal Sciences”. Wynika z tego, że Leopold Tyrmand jest obecnie z zawodu po prostu socjalnym scientystą, a nie jakimś tam nowo-

jorskim noworyszem kawiarnianym, który dopija do fusów i widzi Warszawę jak na dłoni z lokalem Związku Literatów włączanie. Kariera ośniewająca — koszmarnie brudnych talerzy przeobraził się w scientyyczną wizję.

Nie mamy żadnych złudzeń, Gedroyć to załatwił — Gedroyć wszystko załatwi jeżeli „Kulturze” wydaje Instytut Litterate, który jest finansowany przez Congress for Cultural Freedom, a który poprzez pseudoprywatne fundacje (Price Fund, Tower Fund, Beacon Fund, Borden Trust, Monroe Fund, Heights Fund, Hohlitzelle Fund) otrzymuje dolary z Central Intelligence Agency (czyt. CIA). Amerykański dziennik „Washington Post” z dnia 26 lutego 1967 roku ujawnił, że z kasy CIA na konto Congress for Cultur Freedom wpłynęło ostatnimi laty: od Hohlitzelle Fund 505 700 dol., a od Forfield Foundation 1 140 000 dol. Moż na z tych domiarów wyskrobać etak na State University i to dla takiego, który deklaruje się „pogrzebać w psycho-moralnych kieszeniach” — i to socjal scientyycznie. Z tego wynika, że Leopold Tyrmand tak z cicha-pek został panie dzieciu... profesorem...!

Stary już ten Gedroyć, który z niejednej dwójki jadł swój zakalec, zwykły mawiać: mój ty dobry człowieku, nie jesteś dzieckiem, ja was nie będę uczył jak palec ssać. Pamiętajcie, czasy się zmieniły, tutaj Allen Dulles jest wszędzie.

Na jakie koncesje poszedł Tyr-

mand, ten sam Dulles raczy go przyjąć. Ale przecież... „z Polski przyjeżdżają różni ludzie, a między innymi także intelektualne kanale” — powiada Tyrmand, czyżby pro domo sua? W każdym razie z Tyrmandem rozpruła się bania. Tyrmand tu, Tyrmand tam — teraz Tyrmand się dwoi i troi, i się przepoczwarza. Jest w „Kulturze”, jest w „Wiadomościach”, w „Interpay” — erudyta na papierze, orator w gębie. Gedroyć otwiera dla Tyrmanda Hide Park Corner, tzn. katedrę wytworzenia śliny i piany. Tyrmand, wierny janeczkar bierze to wszystko po paluszku — i na papier — i na papier, i znowu u brzegów gazu! W tej samej gedroyciowskiej „Kulturze”, po sąsiedztwie z Tyrmandem występuje inny nabytek — Andrzej mas kujący się za pseudonimem Lubelskiego. Tenże Lubelski wyklada atutową kartę właśnie nie kogo innego jak „tego z Polski o doskonałej strukturze”. Posłuchajmy co pisze: „Tutaj za Boga nie ożeniłby się z Polką, za granicą to koniec. Człowiek staje się obcy dla otoczenia, włazi w polski kościół, z którego nie ma wyjścia. Na co mi to potrzebne? (...) U nas w domu nie rozmawiamy po polsku, ani moje dzieci nie uczą się polskiego języka. Szkoda czasu, ten język nikomu niepotrzebny. Nasze nazwisko przerobiłem na łatwiej wymawialne, bo mamy stałe kłopoty a to taka drobnostka”. Andrzej ps. Lubelski żeni się z Niemką w Hamburgu, więc już nie trudno się domyślić jakim mowi językiem, jak przerobił sobie nazwisko, łatwo pojąć dlaczego w „Kulturze” posilkuje się Lubel-

skim. Mieszka w domku-willi pod miastem (wszystko wiernie opisuje) pełnym zasobów konsumpcyjnego społeczeństwa i pod zgermanizowanym nazwiskiem germanizuje mu się łatwiej dzieci, które chodzą do enerefowskiej szkoły i tam obowiązkowo oglądają Polskę nad Odrą jako Ost Deuschland pod tymczasowym zarządem.

„Na starość — spowiada się tenże Herr X. (Lubelski) — jestem ubezpieczony, kiedyś wygodnie umrę. Postawiłem bazaltowy grobowiec dla naszej rodziny, mam teraz wszystko załatwione, do końca. Jestem zadowolony z samego siebie i to dla mnie najważniejsze, że spokojnie, z czystym sumieniem układam się co wieczór do snu (...) Staram się też nie przypominać, że Polacy to Słowianie, ta nazwa budzi niekorzystne skojarzenia w językach europejskich”.

Herr X. (Lubelski) przedstawia się, żeby już nikt nie miał żadnych wątpliwości: „Kiedyś byłem popychadłem, pracowałem w Zarządzie Miejskim w Radomiu. Za moją pilność i staranność dostawałem dyplomy przodownika pracy”.

W przeciwieństwie do Herr X., który dość precyzyjnie wypełnia istotną lukę w programie parryjskiej „Kultury”, Leopold Tyrmand obraca się w „psychemoralnych kieszeniach”, albowiem i aspiracje nie te i zlecenia zupełnie inne.

Tyrmand passus merytoryczny: „W nosie mam Polskę i Polaków”. Tyrmanda drogowąskaz kieszon-

kowej psycho-moralności: „Moralność to chała. Ulepszenie to chała. Interes narodu to chała. Interes klasy czy cywilizacji też chała”.

Tyrmand wolność sądów: „Spośród masy krajowych miernot i eunuchów, nudziarzy i niby — zdolnych pacanów wyłowić można ostatecznie kilka świetnych poir: dwóch czy trzech takich czytując po dziś z pasją i wyobrażam sobie jacy byliby kławi, gdyby im było wolno to, co mnie jest wolno, na co ja mogę sobie pozwolić”.

Koniec, dajmy temu spokój. W każdym razie, dla mnie jest obojętne na co chce Tyrmand zasłużyć, na jaki tytuł, do czego chce mieć prawo. Z tej jednak jakże ponurej historii wynika jedno. Mówimy i słusznie po wielokroć, że ten czy ów będąc w kraju „wyjechał na emigrację wewnętrzną” Tyrmand jest też emigracji typowym przedstawicielem. Ale patrzymy co się dzieje dalej, jak z takiego emigranta wyrasta opluwacz, typowy rezimieszek słowa, który gdyby mógł, za parę nędznych dolarów nie poskapiliby żadnego słowa — nawet kloacz nego — byleby się tam zasłużył i przypodobał.

Tyrmand nikogo nie zdradził, zdradził tylko swój cyniczny charakter, swoje ciągoty do dolarów. Dlatego „fachowcy na Zachodzie pokiwali głowami” — i być może dlatego się poznali, tak jak poznał się sam Gedroyć żądając: mój dobry Tyrmandzie, coś słabo plucie, zastanówcie się nad swoją przyszłością...

Glosa do „Mariusza” Pagnola

„Mariusza” Marcela Pagnola w reżyserii Henryka Drygalskiego telewizywnie z dłuższym stażem mieli okazję już raz oglądać. Było to wówczas widowisko przygotowane przez Ośrodek Poznański i emitowane ze studia łódzkiego. Były to bowiem czasy, kiedy Poznań nie spinała jeszcze linia łącząca z resztą kraju.

Oglądałem tamten spektakl, oglądałem nową inscenizację przygotowaną przez H. Drygalskiego w Warszawie i nadaną w dniu 27 stycznia. Spektakl warszawski miał wszelkie cechy staranności, był interesujący zwłaszcza pod względem aktorskim Hanna Skarżanka, Tadeusz Fijewski i Ignacy Machowski jak zwykle doskonałi, przyjemnie dostrzeliła się do koncertu aktorskiego seniorów młoda para — Ewa Zukowska (córka Feliksa) i Krzysztof Machowski (syn Ignacego).

Ale spektakl dał mi trochę do myślenia. Zadawałem sobie pytanie, czy reżyser „Mariusza”, wracając po latach do tego samego tekstu dramatycznego, miał publiczności coś nowego do przekazania, czy też w pewnym sensie powielał dawne doświadczenia? Więc zacząć trzeba by od tego, że „Mariusz” Pagnola nie jest dziś, po trzydziestu paru, czy czterdziestu latach (nie umiem stwierdzić dokładnie daty francuskiej prapremiery; nasza Wielka Encyklopedia Powszechna podaje rok 1929, zaś „Historia literatury francuskiej w zarysie” Lanson i Tuffrau — 1932; kto ma rację?), powtarzaniem „Mariusz” nie jest już dziś rewelacją.

Powiedziałbym nawet, że romantyzm „Mariusza” jest trochę podejrzanego gatunku. Czy nie chodzi tu po prostu o wybujały egoizm? Czy Mariusz nie postępuje w stosunku do Fanny delikatnie mówiąc nieprzychylnie? Widzi miłość dziewczyny do siebie, dopuszcza do najintymniejszego zbliżenia, po czym wymyka się ukradkiem, jak złodziej, bo go — rzekomo — morze zrywa. Autor nie osądza jednak Mariusza surowo. Usiłuje go usprawiedliwić atmosferą Marsylii, tej otwartej bramy na świat, ku wielkiej męskiej przygodzie.

Co gorsza współczesny reżyser też zdaje się chyłkiem z brzydkiego czynu rozgrzeszać. Drygalski wydaje się wierzyć w nieco zażyły romantyzm „Mariusza”. Sytuację ratuje trochę tylko Fijewski, który kapitalnie odegrał akordem końcowym podkreśla dramat Fanny, jedynie wiarygodny w całej sztuce.

Moje żale do reżysera nie kończą się jednak na tym. Może są wygórowane, ale wypływają z tęsknoty za ambitnymi widowiskami, które nie powtarzałyby w nie skończoność wypróbowanych schematów, tylko szukały nowych środków wyrazu. Kiedyś zaś lepsza po temu okazja, jak właśnie w wypadku powrotu do tekstu już raz realizowanego? Drygalski z tej szansy nie skorzystał. Powtórzył, może starannie, spektakl sprzed lat.

Nie umiem odpowiedzieć sobie na pytanie jakiego „Mariusza” chciałbym widzieć na ekranie (jeżeli już koniecznie „Mariusza”). Może należałoby trochę uprawdopodobnić tęsknotę chłopca za morską przygodą? Dekoracja w studio, rozbudowana werystycznie, nie dała słonego smaku mórz południowych. Marzeniem Mariusza nie dodawało to skrzydeł. Tłukły się żałośnie wśród typowo teatralnej scenerii.

I teraz przychodzi mi na myśl nowe przewrotne pytanie. Wyobraźmy sobie, że telewizja sięgnie po „Mariusza” znowu za jakieś piętnaście lat. Czy poda nam go w tym samym, to znaczy podobnym kształcie? Czy rozwój techniczny i coraz bogatszy bagaż doświadczeń artystycznych nie skłoni twórców telewizyjnych do szukania nowych, zupełnie innych środków wyrazu? Obecny teatr TV powstał jako kompromis między tradycją teatralną i nowoczesnym środkiem przekazu, korzystającym z fal elektromagnetycznych. Czy ten kompromis jest umową zawartą raz na zawsze?

Trudno jest na ten temat powiedzieć coś konkretnego. Sądzę jednak, że dominacja ludzi teatru, którzy opanowali teatr TV bardzo mocno, kiedyś się skończy. Do głosu dojdą ludzie nieobciążeni wypracowanym schematem, poszukujący czegoś nowego. Nowych możliwości kryjących się w technice telewizyjnej. Jak dotąd telewizja jest tylko rewolucją w technice nadawania, przekazu i odbioru. W sensie programowym wciąż jeszcze dość nieudolnie zapożycza się w teatrze, filmie, nawet w gazecie, bo większość programów publicystycznych nie pokonała gazetowego progno.

Skreśliłem tych kilka futurologicznych myśli na marginesie „Mariusza”. Sam „Mariusz” posłużył mi tylko za pretekst. Tak się jakoś złożyło, że po tym spektaklu naszyły mi refleksje...

P. S. Przed paru dniami uroczą skądinąd spikerka TV Warszawa, p. Walter, zapowiedziała z czarującym uśmiechem: „A teraz zapraszam państwa do obejrzenia świetnego filmu... itd.” Prawdziwa rewelacja! Może spikerzy zaczęta teraz z reguły oceniać programy przed ich nadaniem? A może zaczęta je reklamować? Proponuję parę form zapowiedzi:

— A teraz zobacz państwo Wszeczną Telewizyjną — paluszki liźać!

— Za chwilę nadamy magazyn X — Istną perełkę roboty dziennikarskiej.

— Program, który przygotowaliśmy dla państwa będzie prawdziwą uczta...

Władysław Brucyński



Karol Reich: Dziewczyna z koniem

Uwięzione w Koryncie

Dalszy ciąg ze str. 5

wenerycznych. Wystarczy wspomnieć, że w roku 1968 zostało doprowadzone do badań w poradniach „W” 1.115 osób, z czego 282 prostytutki były chore, a 160 musiano skierować na leczenie szpitalne. Skoro się zważy, że każda prostytutka stanowi praktyczne źródło rozsiewania chorób w skali bardzo znacznej — to zagadnienie urasta do problemu społecznego.

5.

Co mówi na temat powstawania narobku prostytucyjnego socjolog — tym razem nie związany z badaniami Komendy Miasta MO?

Niewątpliwie można rozróżnić szereg przyczyn, dla których kobiety schodzą na drogę nierządu. Będą tam oczywiście przyczyny społeczne, pewne zjawiska biologiczne, nad którymi w tej chwili prowadzone są na świecie badania i wreszcie zjawiska natury psychospołecznej — a więc jakieś odejścia od norm, jakaś niemożność znalezienia modelu postępowania w życiu wobec starcia się kilku starych modeli moralnych. Nie od rzeczy będzie wspomnieć o wielu wzorcach łatwego życia i użycia, o roli pewnych podkultur społecznych.

6.

Co na ten temat mówi nam psychiatra?

— Od razu trzeba spojrzeć prawdzie w oczy skoro nie ma przyczyn psychopatycznych, to istnieją przyczyny o charakterze socjalnym i vice versa. Przyczyny społeczne dotyczące powstawania prostytucji i nierządu obejmują około 50 procent

przypadków. Pozostałe przyczyny są więc natury psychopatycznej. Tu wyróżnimy zjawisko lekkiego dla debilizmu — niezdolności, czy też nieporadności osobnika, nieporadności psychicznej wobec autorytetu i przymusu. Tutaj zahamowana jest zarówno wola jak i czynniki charakterologiczne oraz intelektualne. Najszersze, jednak grupy przyczyn w tej dziedzinie to psychopatie pociągu seksualnego i wyrażające się w nieprzystosowaniu społecznym.

Powiedzmy sobie przecież wyraźnie, że mamy do czynienia z rodzajem nienaturalnej reakcji psychologicznej u kobiet powtarzających wielokrotnie stosunki z różnymi partnerami w krótkim odstępie czasu.

Pozwolę sobie jeszcze — dodaje psychiatra — powiedzieć kilka słów o demonizowaniu problemu młodego pokolenia. W tej dziedzinie nie dysponujemy wystarczająco wielkim materiałem badawczym, ale możemy stwierdzić, że nie ma jakiegos ustalonego odchylenia młodych w kierunku nierządu. Tęsknoty seksualne nie występują tutaj na pierwszym miejscu. Istnieje natomiast poważna skłonność do ekstrawagancji, do sprzeciwu wobec norm i wychowawców — i stąd przeróżne formy, często okaleczające osobnika, formy „wielkiej przygody”.

7.

A więc — materiał do dyskusji społecznej. Zarówno w zakresie pomocy organom MO, walczącym samotnie lub prawie samotnie z powiązaniem przestępczymi środowiskami prostytucyjnymi — jak i w zakresie współdziałania ze służbą zdrowia, z władzami i instytucjami oświatowymi bądź wychowawczymi.

ROBERT GLUTH

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Napisany kamera fragment historii polskiego filmu, poszukiwanie kamery prawdy o jednym ludzkim życiu, które stało się symbolem pewnego pokolenia, zapisana kameralną rozprawą socjologiczną o miejscu i funkcjach aktorskiego zawodu, dokonana kamerą analiza tajemników ludzkiej psychiki i tajemnic aktu twórczego czyli — „WSZYSTKO NA SPRZEDAŻ” Andrzeja Wajdy.

Wielowarstwowy układ problemów podporządkowany został w tym filmie idei nadrzędnej — próbie uchwylenia prawdy o człowieku, którego imię ani razu nie pada, a którego obecność odkrywamy w każdej sytuacji, w każdym obrazie, w każdym dialogu. Ta nieobecność jest okrutnym wyrokiem losu, jego nieodwracalność wzbudziła bunt, który stał się początkiem nowej myśli skonkretyzowanej w akcie

twórczym. To chyba najpiękniejszy hold jaki mogli złożyć żyjący, temu, który odszedł. Jeśli wspomnienie o nim może wywoływać tak wiele refleksji i tyle wzruszeń to znaczy, że Zbigniew Cybulski jest jeszcze wśród nas. Pozostał w naszej świadomości, nie pozwala się z niej wykreślić. Stworzył w polskim filmie typ bohatera symbolizującego pokolenie Kolumbów („Popiół i diament”, „Miłość dwudziestolatków”, „Salto”), to wiemy, ale wiemy również, że żył swym życiem prawdziwym i że te dwa istnienia złożyły się na ową mitotwórczą funkcję, którą odegrał nie tylko w historii polskiej kinematografii, ale i w dziejach pokolenia tych, którzy byli autentycznie młodzi na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Pamiętamy Zbyszka Cybulskiego, gdy jako bohater „Miłości dwudziestolatków” odchodził zupełnie przez nich niezrozumiany, jest dla nich symbolem spraw odległych, których sensu nie są w stanie ogarnąć. W filmie „Wszystko na sprzedaż” na pogrzebie zmarłego Aktora anonimowy młody człowiek mówi o „śmierci słowa”, które przylegają do filmu, którego sens nie w pełni jednak czyta rozumie. Bogumil Kobiela przynosił rekwiizyty po zmarłym przyjacielu, daje jednak reżyserowi niechętnie, nie chce i nie umie mówić o człowieku, którego goznie znał tak dobrze. Rozumie niemożność określenia pełni prawdy, czy nie chce Go „sprzedać” zupełnie? Zjawia się jednak w filmie bohater nowy, przejmując rekwiizyty — skózaną kurtkę i manierkę z czasów wojny — symbole własnego i filmowego ży-

cia zmarłego Aktora. On jeden spośród wszystkich jest autentycznie żarliwy, on jeden przejmując pamięć o swarach, które pozornie ze Zmarłym odeszły. Dla niego jednego nadal posiada sens pionący w kłębszku spirytus, choć patrzy nań również Adam Pawlikowski. Film kończy się blięciem Daniela Olbrychskiego, który ściga się z tabunem koni. Tylko Daniela, jego jednego, reżyser nie chce „sprzedać”. Czy traktować tę scenę symbolicznie, czy widzieć w niej akcent optymistyczny w twórczości reżysera, dla którego poszukiwanie i ocena tych, którzy przejmują dziedzictwo spraw narodowych i społecznych było zawsze zagadnieniem najważniejszym? Zobaczymy.

Powyższe uwagi odnoszą się, i to bardzo wzmiankowo i marginalnie, jedynie do tej warstwy filmu, w której „sprzedaje się wszystko”. Jest tego jednak tak wiele, a współzależności są tak skomplikowane, że trudno je rozwiązać do końca i ułożyć w uporządkowany szereg spraw podjętych. Wybierzmy zatem tylko niektóre spośród tej przobogatej materii filmowej, którą Wajda kształtuje dla potrzeb spraw, o których chce mówić. „Wszystko na sprzedaż” przedstawia przecież poszukiwanie reżysera, który chce zrobić film, jest historią o jego powstawaniu, jest opowieścią o akcie twórczym. Zdawało nam się przed laty, iż po genialnym „Ośmiu i pół” Felliniego nic więcej na ten temat powiedzieć nie można. Sądzę jednak, że Wajda poszedł jeszcze dalej, penetrując problem w głąb, sięgając jeszcze niżej — rzeni aktu tworzenia i problematyki zawodu. W sposób beziluznie szczerzy odsła-

nia kulisy tej sztuki, w której tak trudno być autentycznie sobą, móc wyrazić wszystko co jest najintymniejszym odczuciem czy refleksją. Z jednej strony Wajda świadomie podkreśla wielki dystans między rzeczywistością autentyczną a fikcją i inscenizacją filmową, a drugiej robi wszystko, by dokonać pełnej identyfikacji między tym co jest myśleniem, a tym, co rzeczywistością pozafilmową. W ten sposób swym dziełem artystycznym włącza się w teoretyczną dyskusję nad istotą kina.

Bohaterowie jego filmu grają sami siebie, wnoszą w film swe osobowości i własne dramaty, powtarzają swe role z innych filmów. Więcej, Wajda cytuje sam siebie, fragmenty swych filmów, a także motywy z filmów swych kolegów. Pomaga mu w tym postać bohatera filmu, którego nieobecność, o czym była mowa wyżej, jest tylko pozorna. Jest ona łącznikiem, jest papierkiem lakmusowym, który ujawnia sprawy najskrytsze, które chciałyby się nawet zataić, prowokuje do autoironii, wprowadza elementy groteski i satyry zwłaszcza tam, gdzie Wajda ukazuje tajemki rzemiosła, gdzie demaskuje swe środowisko, dla którego na przykład sprawa użycia takich czy innych chwytów rzemieślniczych jest podstawową szansą zrobienia filmu „festiwalowego”.

Za symbolicznym tytułem — „Wszystko na sprzedaż” — kryje się jeszcze jeden bardzo ważny motyw tego filmu — zagadnienie fenomenu zawodu aktorskiego i jego misji, zawodu, w którym ludzie zatracają granice między własnym ja, a tym czym stają się poprzez role swych bohaterów, zawodu, który daje im wielką szansę pol-

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

niejszego życia, a jednocześnie zabiera prawo do intymności, życia prywatnego, czyni ich własnością publiczną, staje się symbolem kariery i powodzenia, prowokuje do naśladowania. Sprawy te stają się tym bardziej godne psychologicznych i socjologicznych rozważań, że Wajda nie jest łagodny w swych ocenach, o czym niech świadczy choćby scena bankietu i zabawy z karuzela, widziana w kontekście analogicznej sceny z „Popiołu i diamentu”. Gdy już wracamy pamięcią do poprzednich filmów Andrzeja Wajdy, pozwólmy sobie zwrócić uwagę na fakt, że „Wszystko na sprzedaż” będąc w jednej ze swych warstw jakby podsumowaniem tematów podstawowych w jego dotychczasowej twórczości i będąc po trosze antologią problemów „szkoły polskiej” w ogóle, jest jakby pożegnaniem reżysera z dotychczasową formułą artystyczną. Nie znajdujemy we „Wszystkim na sprzedaż” nic ze stylizacji dawnych filmów Wajdy. Reżyser filmowego, obrazowego symbolu przemawiającego tak silnie swą statycznością, w tym utworze rozstał się z nim zupełnie. Czy ostatecznie, nie wiemy, we „Wszystkim na sprzedaż” dominuje ruch, spontaniczność, przypadkowość, pewna nieudolność i otwartość sytuacji jednych, bądź krzykliwość i agresywność innych, nie zawsze zamkniętych punktów. Znajdujemy w tym filmie rzadki w polskiej twórczości autentyzm, codziennosc języka, którym mówią bohaterowie. Może więc „Wszystko na sprzedaż” jest pożegnaniem Wajdy z literaturą. Wszystko bowiem w tym filmie udowadnia prawdziwe, autorskie kino.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WYSTAWA MONDRIANA

Wielka, retrospektywna wystawa dzieł Mondriana otwarta została w Paryżu. Zgromadzone na niej około stu obrazów z lat 1898 do 1942. Obrazy rozmieszczone w siedmiu salach. W trzech umieszczono dzieła figuratywne, jedną salę przeznaczono na płótna kubistyczne, a trzy następne pokazują dzieła abstrakcyjne.

Piet Mondrian (1872-1944) malował początkowo, jeszcze w Amsterdamie, pejzaże i mar-



Obraz Mondriana z roku 1930.

twą naturę w konwencji czy sto tradycyjnej, korzystając z doświadczeń wielkich holoendek mistrzów. W przeciwnieństwie do impresjonistów, wyprowadzających się z jasnych, radosnych kolorach, Mondrian w owym czasie lu-



Obraz Mondriana z roku 1908.

buje się w kolorach ciemnych, świetle księżycowym, nastrojowych krajobrazach z łanych odcieniami fioleto. Od roku 1908 malarz pozostawał pod wpływami fowistów.

W tym czasie podpisuje swe obrazy: Mondriaan. Pisownię nazwiska zmienia dopiero przybywając do Paryża, gdzie przebywał dwukrotnie, od roku 1912 do 1914, a potem na wieloletni już pobyt w latach 1928-1932. Kubizm, z którym artysta zapoznaje się w stolicy Francji, staje się dla niego prawdziwą rewelacją.

Od czasów pierwszego pobytu w Paryżu sztuka Mondriana ulega ciągłym przekształceniom, by powoli dojść do czystej abstrakcji oszczędności wyrazu, malowania geometrycznych kompozycji, stosowania zaledwie kilku, czystych zasadniczych kolorów.

W roku 1917 Mondrian wraz z Van Doesburiem zakłada pismo artystyczne „De Stijl”, a w roku 1920 jego pierwsze płótna neo-plastyczne charakteryzują poszukiwanie symetrii i asymetrii w kompozycjach wertykalnych i horyzontalnych.

Pobyt w Ameryce, gdzie malarstwo Mondriana cieszy się wielkim uznaniem, wywiera znaczny wpływ na artystę, który już do śmierci będzie upraszczał swe środki wypowiedzi malarskiej. Przekształcając ustawicznie swój warsztat Mondrian dochodzi do kompozycji architektonicznych, których rozwiązania znajdują zastosowanie przede wszystkim w budow-

KŁOPOTY Z PANIĄ WALEWSKĄ

W czasie gdy głośne poszukiwania w Kiernozi zakończył się fiaskiem, francuska telewizja w programie kolorowym nadała widok o „polskiej małżonce” cesarza — jak ją określił historyk André Castelot. Widok jest adaptacją sztuki norweskiego pisarza Johanna Bøjersa. W roli Napoleona wystąpił Roger Cogio, w roli pani Walewskiej — Danielle Volle.

Niestety krytyka nie jest zachwycona spektaklem. Znany ze złośliwości dziennik „Le Figaro” najpierw przypomina wielką i wspaniałą grę Greta Garbo w roli Marii Walewskiej, po czym mówi o telewizyjnym spektaklu jak o farsie „w której nie wiemy czy Napoleon jest chłystkiem o głosie sennego licealisty, padającego w ramiona przez rażonej hrabiny, która z braku świetności, wdzięku i dowcipu, zadawała się jak najczystszy zamykaniem swoich malutkich oczu i akcentowaniem czerwieni policzków pokrytych maquilagem!”

NIEZNAJNE OPOWIADANIE TURGIENIEWA

Redakcja paryskiego tygodnika „Le Figaro Litteraire” zamieściła w dwóch numerach tego pisma z grudnia ub. r. nie publikowane dotąd opowiadanie Iwana Siergiejewicza Turgeniewa w związku z 150-tą rocznicą urodzin wielkiego pisarza. Opowiadanie ma tytuł „Une fin” (Koniec) i nie jest tłumaczeniem. Turgeniew podpisywał je w języku francuskim swej długoletniej przyjaciółce Paulinie Viardot. Sam nie mógł już pisać gdyż był zbyt schorowany.

Przypomnijmy, że Iwan Siergiejewicz Turgeniew zaprzyjaźnił się z francuską śpiewaczką Pauliną Viardot w roku 1843. Dla niej to wyjeżdżał często do Francji. W roku 1863 przebywał w Viardot i jej rodziną w Niemczech w Baden-Baden. Po roku 1870 przenosi się na stałe do Francji, gdzie umiera

w roku 1883 w Bougival. Tu właśnie niedługo przed swą śmiercią stworzył opowiadanie „Une fin”, które z powodzeniem mogłoby się znaleźć wśród najlepszych kart słynnych „Zapisów myślowych”. Biografowie Turgeniewa wie- dzeli o tym opowiadaniu sądził jednak, że utwór zaginął. Tymczasem wnuk śpiewaczki, Jacques Paul Viardot, odnalazł „Une fin” pisany ręką jego babki, wśród papierów rodzinnych. Treścią opowiadania są dzieje zubożalego rosyjskiego szlachcica, który nie mogąc się pogodzić ze swym upadkiem materialnym i społecznym wywołuje burdy i awantury, a nawet udaje groźnego bandytę. Ginie tragicznie, posadzony o kradzież koni.

1.000 LAT KAIRU

W tym roku Kair obchodzi tysiąclecie swego istnienia. Z tej okazji „Litteratur



naja gazeta” zamieszcza m. in. interesujące rysunki z Kairu wykonane przez artystę L. Władymirskiego, który był członkiem delegacji radzieckiej jaka odwiedziła



Kair, w miesiąc radzieckiej kultury zorganizowanym w Zjednoczonej Republice Arabskiej.

GYULA HINCZ

Pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Francusko-Węgierskiej Instytutu Węgierskiego otwarta została w Paryżu wystawa węgierskiego malarza Gyula Hincza. Jest on znany i szanowany w swym kra-

czowiek w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Na wystawie prócz płócien pokazano szereg rysunków, dziesiątki dzieł grafiki czarno-białej i kolorowej.

Gyula Hincz ilustrował z dużym mistrzostwem dzieła takich twórców jak Eluard



Gyula Hincz: „Martwa natura” (linoryt)

ju, gdzie przez szereg lat był dyrektorem jednej ze szkół plastycznych. Malarstwo Hincza charakteryzuje się dużą pomysłowością i różnorodnością form oraz bogactwem kolorystycznym. Ulubionym tematem malarza, który jest wielobieżnym twórczości Picasso i Matisse'a, stał się

przyszły sławny pisarz. Stąd, jak sądzi Cixous, awersja autora „Ulissesa” do rodziny jako instytucji, a nawet do społeczeństwa. Wprawdzie Joyce miał towarzyszkę życia Norę Barnacle, z którą przeżył wiele lat i z którą miał potomstwo, ale ożenił się dopiero po 27 latach od chwili jej poznania, a uczynił to w interesie swych dzieci.

KSIĄŻKA NA TEMAT JAMES JOYCE'A

Proust, Joyce i Kafka są jak wiadomo tymi pisarzami, którzy wywarli ożywczy wpływ na literaturę współczesną. Proust i Joyce mają już wiele opracowań naukowych. Pod tym względem nie mógł jak dotąd konkurować z nimi James Joyce. Ostatnio jednak ukazała się w Paryżu u Grasseta gruba, bo licząca 800 stron, książka będąca żmudną i wnikliwą pracą naukową. Jej autorką jest Helena Cixous. Praca zatytułowana jest „L'Exil de James Joyce ou l'art du remplacement” (Ucieczka James Joyce'a albo sztuka zastępowania).

Autorka przestudiowała ponad 2 tysiące studiów o piarszu i dotarła do wielu dokumentów i zapisów. Rodzice Joyce'a byli specyficznym małżeństwem. Ojciec, był pracownik uniwersytecki, był alkoholikiem, matka, dewotka była niemal stale brzemienista. James był najstarszym dzieckiem spośród szesnastorga lub siedemnaściorga (dokładna liczba dzie- ci nie została ustalona). Lat wó- wiec sobie wyobrazić atmosferę rodzinnego domu w jakiej spędzał dzieciństwo

przyszły sławny pisarz. Stąd, jak sądzi Cixous, awersja autora „Ulissesa” do rodziny jako instytucji, a nawet do społeczeństwa. Wprawdzie Joyce miał towarzyszkę życia Norę Barnacle, z którą przeżył wiele lat i z którą miał potomstwo, ale ożenił się dopiero po 27 latach od chwili jej poznania, a uczynił to w interesie swych dzieci.

Helena Cixous w swojej pracy bardzo starannie wykuwała podobieństwa bohaterów powieści Joyce'a do jego samego i do ludzi z którymi stykał się autor „Ulissesa”. Twierdzi np., że Molly ma wiele cech Nory Barnacle, zaś sam autor ukrył swą indywidualność w wielu postaciach powieściowych. M. jn. częściowym portretem samego Joyce'a jest Bloom.

„CYRANO DE BERGERAC” KOMEDIA MUZYCZNA

Stanley Kramer, który już w roku 1950 adaptował sztukę Edmonda Rostanda pt. „Cyrano de Bergerac” dla filmu, obecnie pracuje nad powtórny zadaptowaniem jej na ekran. Tym razem ma być to komedia muzyczna.

Bez strachu

ZYCIORYS

Wersja I

„...Urodziłem się w tym mieście. Mój ojciec był księgowym i zegarmistrzem — palił cygara. W szkole nie się uczyłem. Moje niechlujnie prowadzone zeszyty nauczycielka podnosiła do góry za ośle uszy i pokazywała klasie. Kiedyś przagnęła się odznaczyć obwódkiem kółkami atramentowymi, kropki nad wszystkimi literami nad I, nad J, nad Ł... Pracowałem w fabryce walizek. Chciałem wyklejać walizki, ale kazano mi sztańcować fibrę. Starszy praktykant, który kleił zaszły mi kleśnienie. Wywieziono mnie i kazano dźwigać kamienie, nitować kadłuby samolotów. Staralem się być pozytywny — pomimo to było mi ciężko. Byłem głodny — tylko pół litra brukił dziennie. Wróciłem. Uczyłem się, studiowałem rzeczy mieniętecz- ne — dużo książek, z których nie było wynika. Są to książki pozorne, książki traktujące o niczym...”

Wersja II

„...Urodziłem się i pisałem — chcę pisać, aż do śmierci — tylko ręce — odmroziłem — kiedyś — lamano mi też ręce w obozie — otóż teraz zwłaszcza zimą, zwłaszcza jesienią, bardzo mi ciężko utrzymać dłonie, jeszcze piszę ale z trwogą myślę, że pewnego dnia wypadnie mi na podłogę... Sekretarz parlii po wiedział do mnie: „... wierz w twój talent, ale nie wierzę w twój światopogląd” (myśli się — prawdziwy był mój światopogląd, a talent fałszywy). To było wiele lat temu... Potem wyjechałem na pół roku — (bałem się dotkliwej zimy w ponurym mie- szkanie, ponadto obraził mnie pewien bardzo zresztą ulanow- towany eudziemiec, miałowi- cie francuski Zyd od wleciał mi zamieszkały w Łodzi. Wróciłem i siedziałem w ciepłym i w mieszkanie — przetrzyony pierwszymi akordami 5-ej symfonii c-moll Beethovena (były to niezmiernie sugestywne mo- tywy śmierci i losu). W tych dniach odwiedzał mnie diabeł — wlecie dostojny szatan Do- stojewskiego i Tomasa Man- na — stadywał na tapczanie, a ja płacząc zarzucałem mu ręce na szyję, a On mówił słowami Chrystusa: „Bogosławieni, którzy płaczą...”

Wersja III

„...Urodziłem się i od dzie- ciństwa jadłem pietruszkę, pietruszka jest bowiem bardzo zdrowa — zawiera dużo witamin — neutralizuje ponadto przykry zapach czosnku, który (czosnek, a nie ząbek) jest także zdrowy. Tak żyję, a raczej tak ledząc chro- niłem się przed przeziębieniem, które jest bardzo nie- zdrowe, a ściśle samo jest chorobą i to chorobą przy- krą bo pogardzaną. Kiedyś myślałem, że mam rak, bo to choroba poważna, ale po- wiedzieli mi, że jestem zdrow. Tak wyrosłem na zdrowego chłopca chociaż mało ideowe- go — znaczy się nie wrogie- go, ale obojętnego, ale to może dlatego, że nigdy do końca mi nie ufano, a tylko rys to rzecz ważna i muszę to napisać ale co mi tam...”

Wersja IV

„...Urodziłem się i znowu jest zima, a z retrospekcją ciężko. Życie racjonalisty zaw- sze pogodne, chociaż mało konkretne (kompletny brak widm uniemożliwia kontrasty — światło biednie w krainie bez cienia)...”

BERNARD SZTAJNERT

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

CZTERY KSIĄŻKI ŁODZIANINA

STATYSTYCZNE BICIE ŻONY — PING-PONG W KSIĘGARNI — REKLAMA JEST DZWIIGNIA LITERATURY — CZYTELNIK CZEKA NA MECIE.

Gdyby mnie Dom Książki poprosił o wymyślenie sloga reklamowego zaproponowałbym taki: „Książek pozyczonech nie należy oddawać, aby pozyczonego od- zwiecić od pozyczenia.” Ro- zumiecie co za perfidna myśl się kryje za tym przydługim zdankiem? Jeśli nie będzie „dawców” — „biorcy” zmuszeni zostaną sami do zakupu. A to by się w Łodzi przydało. Powiedział mi dyrektor Bartoszewski z Domu Książki, że statystyczny łodzianin wydaje rocznie na zakup książek 95 złotych. „To nieźle” — ucieszyłem się. Ale dyrektor Bartoszewski nie podzielał tego entuzjazmu. W tej niepełnej „stówie” mieszczą się bowiem zakupy bibliotek, instytucji oraz pod- ręczniki szkolne. I w takim wypadku naprawdę nie ma powodu do radości. Na ten normalny niezorganizowany zakup, z potrzeby serca i własnej kieszeni przeznaczamy dość marne grosze.

Wiem oczywiście, że statystyka rzecz zawodna. Tak jak w znanej anegdotce o bicu żony. Jeśli mój sąsiad bije żonę codziennie to statystycznie obaj bijemy swoje żony co drugi dzień. Albo w pasztecie przyrządzonym w proporcji pół na pół z koniny i zająca. Pół zająca na pół konia.

Gdybym się uparł, może bym znalazł jakieś wytłumaczenie tego stanu rzeczy — że to i specyficzna struktura mieszkańców, że ceny książek, że, że, że... Ale przecież rzecz nie w tym, aby się tłumaczyć, lecz aby zdać sobie sprawę z sytuacji. Bo tu się zaczyna dopiero działanie, jeśli wiemy co i

I jak. A więc kadry księgar- skie. Piętnastolecie obchodzi- ło niedawno Łódzkie Techni- kum Księgarskie — ukończy- ły tę szkołę 162 osoby. Ile pracuje dziś za ładą? Trzy- dzieści trzy, a więc po dwie z kawałkiem z każdego rocz- nika. Dziewięćto jest kiero- wnikami księgarni, ośmioro- poszło „w urzędniki”, do- brze chociaż, że w Domu Książki... Reszta rozplynęła się po świecie.

Tak więc najczęściej poten- cjalny nabywca książek staje przed księgarzem z etatu a nie z powołania i wykształ- cenia. Kupowanie książki — ów etap wstępny przed lektu- rą — może być znakomitą frajdą, mini przygodą intelek- tualną... To prawda, ale gdzie? W księgarni „Łódz- kiej” przy Piotrkowskiej, w księgarni samoobsługowej przy Piotrkowskiej, w „Pega- zie” u nieocenionego Jana Gierańczyka — oczywiście także przy Piotrkowskiej... Może jeszcze w dwóch czy trzech księgarniach...

Próbowałem i gdzie indziej — próbuję nadal, bo mnie to bawi — nie podam więc adresu. Wygląda to mniej- więcej tak: „Poproszę o „Z życiem pod pachę” Rolickie- go” — powiedziałam. „Nie ma” — rzuca „siła księgarska”. Nie zrażam się. „Poproszę o „Wiersze” Lieberta” — strze- lam poezją. „Nie ma”, „Po- proszę „Zycie pana Moliera” Bulhakowa”. „Nie ma”.

Nie jestem niewierny To- masz, ale trudno mi uwie- rzyc, aby bez rzucenia na- wet okiem na półki z tysia- cami książek można było za- pamiętać te dziesiątki tytu- łów jakie bezskutecznie pró- bowałem w ostatnich tygod- niach nabyć w owej znanej księgarni w nowoczesnym blo- ku. Tylko, że dla mnie jest to akurat zabawa w ping- ponga — co prawda ja mam zawsze inną piłeczkę — pa- ni za ładą, wciąż te same... Ale jeśli przyjdzie na te ma- mutowe posadzki, pod te ja- rzeniówki, w ten kolorowy szlaf — zwykły zabukany klient nie znający tytułów, nie znający księgarni z księ- garzami z prawdziwego zda- rzenia, jeśli przyjdzie klient który wie tylko tyle, że chce książkę o wojnie, o miłości, dla córki, dla syna, żeby by- ło wesoło lub żeby było smutne? Czy te wyniosłe sza- lenie kulturalne panie pomo- gą mu w wyborze? Czy przyjdzie tu po raz drugi, czy pójdzie w ogóle po raz drugi do jakiegokolwiek księ- garni?

Poświęcam tyle miejsca księ- garni akurat nie bardzo ty- powej, ale w tej ping-pon- gowej rozgrywce jawi mi się jakiś szerszy problem księ- garsko-handlowy. Problem in- formacji, konsultacji, czy ja- wiem? Płyte gramofonową mo- żna przesłuchać — książki nie można na miejscu prze- czytać. Ktoś więc musi w za- kupie pomóc — przede wzy

stkim klientowi, który tego potrzebuje. To także sprawa reklamy. Nie kameralnej, ale tej in- stytucjonalnej, wityrnej. Pojechałem kiedyś na Sym- pozjum Poetyckie do Lubli- na. We wszystkich księgar- skich wityrnach leżały setki tomików poetyckich, pościąg- nych z magazynów i zaka- marków Domu Książki. Poeci kupowali zbiorki własne (gło- wnie) i kolegów (czasami) i mieli dużą frajdę i miał ją Dom Książki, bo sprzedał to war nie bardzo chodliwy. W Łodzi odbywał się wiosną O- gólnopolski Festiwal Poezji, ale książkami poetyckimi nie zarzucono wityrn i półek.

W Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu — książki miejscowych pisarzy eksponowane są w oknach księgarni z od- powiednimi anonsami, plan- szami, fotografiami autorów... W Łodzi narzekę się, że jest mało książek o Łodzi, ale te które się ukazują, giną na półkach i wityrnach, bo nikt nie dba o ich reklamę. Czę- sto autor sam — choć mu- lyso niewymownie — prosi znajomego księgarza o wyta- wienie książki w wityrnie... Oczywiście to żaden wstyd, ale w końcu rzecz pisarza jest napisać książkę — dalej, jak w stulecie 4x100 ktoś inny powinien ją przejąć i nie upuścić jak Kirszenstein tylko w dobrym stylu i cza- sie dowieść do mety. Czyli do Czytelnika.

JERZY WIDOK

W upalny dzień dzień SIERP- NIOWY

Phenstone Road, Clapham
20 sierpnia 190...

Przeżyłem właśnie najdziwniejszy dzień z całego mojego życia i chcę wszystko dokładnie opisać, dopóki zdarzenia tego dnia są jeszcze świeże w pamięci.

Nazywam się James Clarence Withencroft, mam lat 40, zdrowie mam doskonałe. Z zawodu jestem artystą, nie żadną wielką sławą, ale my mi czarno-białymi rysunkami zarabiam na dostatek życia. Nie mam żadnych bliskich krewnych, tak że jestem zupełnie niezależny.

Dzisiaj wstałem przed dzie wiatą, zjadłem śniadanie, przejrzałem gazety i zacząłem rozmyślać nad jakimś tematem do utrwalenia na papierze. W pokoju było nie samowicie duszno i gorąco i właśnie zdecydowałem, że lepiej pójść na basen, niż się dzieć tu, gdy nagle wpadł mi do głowy pomysł. Wziąłem papier i zacząłem rysować, a praca ta pochłonęła mnie tak bardzo, że nie zauważyłem, iż minęła pora lunchu. Oprzytomniałem dopiero, gdy dzwony na kościele wybiły godzinę czwartą. Wynik mojej pracy był z pewnością najlepszym dziełem, jakie udało mi się dotychczas stworzyć.

Szkic przedstawiał przestępcę na ławie oskarżonych w chwili, gdy sędzia ogłaszał wyrok. Oskarżony był tegi, szalenie tegi. Wałki tuszczo zwisały mu wokół podbródka, marszczyły się na krótkiej szyi. Był gładko wygolony i prawie zupełnie łysy. Stał trzymając się poręczą patrzył wprost przed siebie. Na twarzy miał wyraz nie tyle przerażenia, ile zupełne go załamania.

Zwinąłem szkic i nie wiem dlaczego wsunąłem go do kieszeni. Następnie, z jakimś dziwnym uczuciem zadowolona, wyszedłem z domu.

Nie bardzo pamiętam kórędy szedłem. Pamiętam natomiast upał i dziwny zapach unoszący się z rozgrzanego asfaltu. Marzyłem o burzy, którą zwiastowały ciemne chmury, gromadzące się na horyzoncie.

Było kilka minut przed siódmą, kiedy ocknąłem się ze swych rozmyślań. Rozejrzałem się dokoła. Stałem przed furtką, prowadzącą do małego ogródka, w którym rosły purpurowe pelargonie. Nad wejściem znajdował się napis:

Chas. Atkinson, roboty kamieniarskie.

Włoskie i angielskie marmury.

Gdzieś z podwórza słychać było wesołe pogwizdywanie, uderzenia młota i zimny dźwięk stali, natrafiającej na kamień.

Pchnięty niezrozumiałym impulsem wszedłem do środka.

Jakiś mężczyzna siedział odwrócony do mnie tyłem. Pracował nad kawałem marmuru. Odwrócił się szybkim ruchem słysząc moje kroki.

Był to człowiek, którego narysowałem, którego portret nosiłem w kieszeni...

Siedział tam wielki i ciężki jak słoń, pot spływał mu z czoła, które wycierał czerwona chustką. Lecz chociaż twarz była twarzą z rysunku, wyraz jej był całkowicie odmienny.

Powitał mnie z uśmiechem, jak gdyby witał dawno niewidzianego przyjaciela.

— Jest tak gorąco — zacząłem się tłumaczyć — że wszedłem tutaj jak do oazy, znalezionej pośród pustyni.

— Nic nie wiem o oazach, ale upał jest istotnie piekielny — odpowiedział — Niech pan siada.

Wskazał na kamień nagrobkowy, nad którym właśnie pracował. Usiadłem.

— To piękny kawał kamienia — zauważyłem.

— Do pewnego stopnia tak. Powierzchnia jest gładka i równa, ale od tyłu jest duża skaza. Wytrzyma przez

lato, ale w zimie na dużym mrozie, może łatwo pęknąć. — Więc po co pan to obrabia?

— Może mi pan nie uwierzy — roześmiał się — ale szykuję to na wystawę. Artyści robią wystawy, robią je ogrodnicy i my robimy także. Pokazujemy ostatnie nowości i najmodniejsze nagrobki.

Zaczął opowiadać o różnych gatunkach marmurów, potem o swym ogrodzie i o nowych gatunkach kwiatów, jakie zamierzał sadzić. Co chwilę przerywał, aby otrzeć pot z czoła lub pociągnąć dłużej po kamieniu. Słuchałem nic nie mówiąc. Czuję się nieswojo. Było coś nienaturalnego, niepokojącego w spotkaniu z tym czło wiekiem. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że musiałem go już gdzieś widzieć, że w podświadomości zapamiętałem wówczas jego twarz. Ale wiedziałem, że tak nie jest, że sam siebie oszukuję.

Pan Atkinson przerwał pracę, splunął i odetchnął z ulgą.

— No, jak się to panu podobają?

Napis, jaki zobaczyłem, brzmiał:

Tu spoczywa James Clarence Withencroft urodzony 18 stycznia 1860, zmarł 20 sierpnia 190—

Przez chwilę siedziałem milcząc. Zimny deszcz przebiegł mi po plecach. Zapytałem, gdzie spotkał się z tym nazwiskiem.

— Chyba nigdzie — odpowiedział Atkinson — Potrzebne mi było jakieś nazwisko i to właśnie przyszło mi do głowy. Dlaczego pan pyta?

— Dziwna zbieżność. Bo to jest moje nazwisko.

— A daty?

— Jedną z nich zgadza się.

— Rzeczywiście zadziwiająco.

Ale Atkinson wiedział mniej, niż ja. Wyjąłem z kieszeni szkic i pokazałem mu. W miarę, gdy oglądał swoją podobiznę zmieniał się jego wyraz twarzy, aż stał się zupełnie podobny do męża czynny, jakiego wyrysowałem.

— Musiał pan gdzieś słyszeć moje nazwisko — powiedziałem.

— A pan musiał kiedyś mnie widzieć, tylko zapom-

niał pan o tym. Czy może był pan nad morzem w Clacton?

Nigdy w życiu nie byłem w Clacton. Przez chwilę pa trzyliśmy milcząc na dwie daty na kamieniu nagrobkowym, z których jedna była właściwa.

— Chodźmy do pokoju, że na da nam coś zjeść — zaproponował Atkinson.

Przedstawił mi żonę, którą ko przyjaciel, który jest artystą. Wynik był niefortunny — przez godzinę musiałem rozmawiać o sztuce. Po kolacji wróciliśmy na poprzednie miejsce. Atkinson usiadł na kamieniu nagrobkowym.

— Niech pan wybaczy moje pytanie — powiedziałem. — Czy popełnił pan kiedykolwiek coś, za co mógłby pan stanąć przed sądem?

— Nie — odpowiedział. — Trzy lata temu dałem jakiemuś urzędnikowi indyka na święta. Ale to był mały indyk, nie można tego traktować jako przekupstwa.

Wstał, przyniósł polewaczkę i zaczął polewać kwiaty. — Muszę to robić dwa razy dziennie, a jak taki upał, nawet częściej. Gdzie pan mieszka?

Podaliśmy mu swój adres. Dzieliła nas co najmniej godzina drogi i to szybkim krokiem.

— No, pomówmy otwarcie. Jeżeli pan pójdzie teraz do domu, może się panu zdarzyć jakiś wypadek. Może pana przejechać samochód, może się pan poślizgnąć na skórcie od banana.

Mówił z dużą powagą, która kilka godzin wcześniej wydawałaby się śmieszna. Ale teraz nie było mi do śmiechu.

— Najlepiej będzie, jeżeli zostanie pan tutaj do północy — ciągnął dalej Atkinson. — Pójdziemy na górę i zapalimy fajki. Tam pewnie jest trochę chłodniej.

Ku mojemu własnemu zdziwieniu — przyjąłem zaproszenie.

Siedzimy teraz w długim, niskim pokoju na poddaszu. Atkinson kazał żonie, aby się położyła spać. On sam zajęty jest ostrzeniem jakichś narzędzi na małej o-



sejce, jednocześnie pali swoje cygaro.

W powietrzu wisi burza. Piszę te słowa siedząc przy małym kiwającym się stoliku, obok otwartego okna. Noga stolika jest nadłamana i Atkinson, który dobrze obchodzi się z różnymi narzędziami, ma ją naprawić, gdy tylko skończy ostrzyć dłuto.

Jest już po jedenastej. Za mniej niż godzinę już mnie nie będzie.

Upał jest coraz bardziej duszący.

Można doprawdy zwarłować.

(oprac. m. r.)



Lewym okiem

IMIONA RODZICÓW...

W pięknej powieści greckiego autora, Pandelisa Prevelakisa, p.t. „Słońce śmierci”, której prze czytanie gorąco zalecam osobom obrażonym na życie, jest mowa o pewnym rybaku, któremu morze zabrało całą rodzinę. Rybak wziął na ramię wiosło i ruszył w głąb kraju. Spotykanymi ludźmi zapytywał: — co to jest? a gdy odpowiadali — wiosło! — maszerował dalej. Zatrzymał się dopiero, usłyszawszy odpowiedź: kawał drzewa. Tu nareszcie ludzie nie znali wiosła, ani łodzi, ani morza. Tu osiadł.

Zazdroszczę temu rybakowi. Jest kilka rzeczy, które chętnie wziąłbym na plecy i niósł je tak długo, dopóki by się nie okazało, że wszedłem w krainę, gdzie rzeczy tych na oczy nie widziano. A najpierw wziąłbym formularz. Jakikolwiek, jeden z tysięcy, różniących się od sie-

bie jednym lub kilkoma pytaniami, lub nie różniących się wcale. — Wiecie, co to jest? — pytałbym dzieci i starców, mężów i niewiasty, prostaczków i uczonych. I wiem z całą pewnością, że za każdym razem usłyszałbym natychmiast: oczywiście, że wiemy.

Chodzi o tak zwane personalia. Chciałem się kiedyś zabawić przypomnieniem sobie, w ilu to już urzędach, biurach, okienkach, przychodniach pytały mnie o datę urodzenia, imiona rodziców, pochodzenie społeczne, zawód i stan cywilny. Ech, nie ma mowy! W tysiącach szuflad leżą już karteczki z odpowiedzią na te pytania. U dentyistów, w biurach paszportowych, w kasach tramwajów łódzkich, w setkach gmachów, gdzie nie wolno wejść bez przepustki, w dziesiątkach hoteli, w pięciu szpitalach, stu dwunastu przychodniach rejonowych, w dwóch tuzinach klubów i stowarzyszeń, w związku wędkarzy i filatelistów, w trzydziestu domach wczasowych, na poczcie i w bankach, w paraliach i w komisariatach. Leżą nie wiadomo po co, bo za każdym powtórnym interesem w każdej instytucji analogiczny formularz wypełnia się na nowo. Tysiące razy!

Jak niedościgłe marzenie, jak nieprawdopodobny, a romantyczny — czy też romansowy — sen jawiła mi się przez dziesiątki lat scenka z tuzinkowej powieści Körmendy'ego „Siódma piętnaście via Bodenbach”. Oto pan jadący pociągiem nawiązuje przy oknie rozmowę z piękną, a nieznaną panią. Pociąg staje na małej stacyjce, z białymi kamieniami wokół trawnika, z pelargoniami w oknach.

— Jak tu pięknie! — mówi pan.
— Aż chciałoby się wysiąść — wtóruje pan.
I wysiadają i są przez całą dobę szczęśliwi. Bajka, nie? Już nawet nie dlatego, że człowiek jeździ służbowo i musi godzinę po godzinie roz-

liczyć, ale przecież gdyby tak wysiadł, to pierwszą rzeczą do wykonania byłoby wypełnienie formularza! Nie ma mowy o romansach, chyba że ma się z góry zabezpieczoną „chatę”, a wtedy cały urok diabli biorą.

Trochę poważniej: w nowoczesnym świecie człowiek, każdy z osobna, ani na chwilę nie schodzi z plany. Jest widziany, jest rejestrowany krok za krokiem, zawsze — takie są założenia — wiadomo, gdzie jest, nie ma obawy, żeby zginał. W razie potrzeby można z papierków, umiejętnie zestawionych i spletych drucikiem, odtworzyć całą biografię faceta, z najmniejszymi szczegółami. Gdzie byś nie popasał — zostaje formularz.

A tu nagle czytamy w prasie, że wykrywalność przestępstw w skali światowej spada! W takiej na przykład Francji w 1967 roku ujęto 62 procent sprawców popełnionych przestępstw, a w roku ubiegłym — niecałe 56 procent. Prawie co drugi hultaj bimba sobie na wszystkie elektroniczne metody śledztwa, żyje spokojnie wśród tysięcy wypełnianych kart meldunkowych, ankiet, kwestionariuszy. Czyżby fantastyczny zalew rynku literaturą kryminalną, słuchowiskami i widowiskami tego typu wyszkolił zastępy genialnych przestępców, wyprzedzających pomysłowością najlepsze Scotland Yardu świata? Wszystko o każdym wiadomo, wszystko jest zapisane — i coraz trudniej stwierdzić obecność konkretnego człowieka w konkretnym miejscu?

Mimo wszystko, nie chciałbym sugerować, że należy uściślić ewidencję i tak dalej. Mimo wszystko chciałbym spotkać człowieka, który na widok formularza powiedziałby tylko, że to kawałek papieru. To byłby szczęśliwy człowiek...

CWIEK